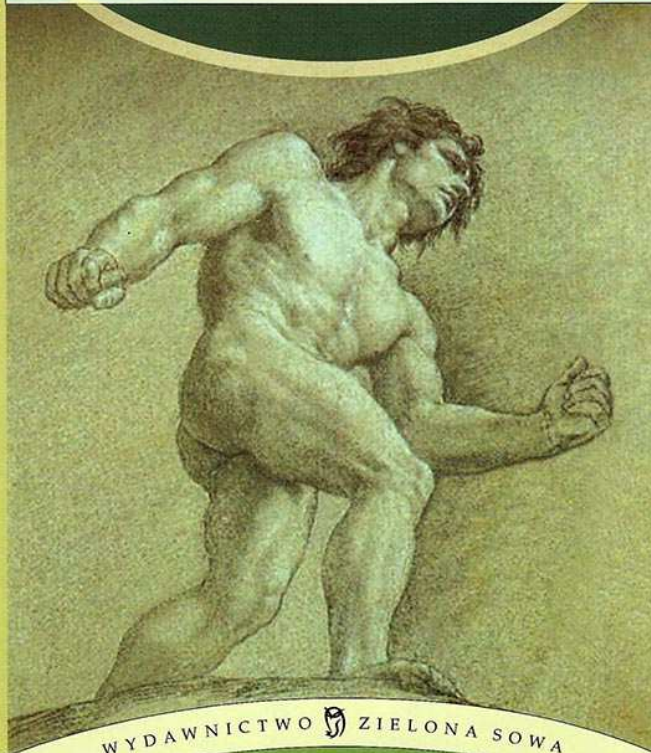



Arcydzieła literatury światowej

Albert Camus

Wygnanie i królestwo



WYDAWNICTWO  ZIELONA SOWA

Albert Camus

Wygnanie i królestwo

Przełożyła
Joanna Guze



Wydawnictwo Zielona Sowa
Kraków 2004

Wiarołomna żona

Mizerna mucha krążyła od chwili w autokarze, choć okna były zamknięte. Jej obecność była tu niezwykła; krążyła bezszelestnie, utrzymując się z trudem w powietrzu. Janine straciła ją z oczu, później ujrzała, jak siada na nieruchomej ręce jej męża. Było zimno. Mucha drżała przy każdym podmuchu wiatru, który ze zgrzytem ciskał piasek o szyby. W rozrzedzonym świetle zimowego poranka autokar toczył się, kołysał i ledwo posuwał się naprzód wśród zgiełku blach i osi. Janine spojrzała na męża. Nos miał szeroki, usta nieregularne, kosmyki siwiejących włosów sterczały nad zwartym, nisko zarośniętym czołem: Marcel wyglądał jak zadąsany faun. Przy każdym wyboju czuła, jak podskakuje. Potem jego ciężki tors opadał na rozstawione nogi; patrzył przed siebie tępo, bezwładny i nieobecny. Żywe były tylko jego wielkie nieowłosione ręce, które w szarej flaneli, zasłaniającej mankiety koszuli i okrywającej przeguby, wydawały się jeszcze krótsze. Ścisnęły tak mocno małą płócienną walizkę, którą postawił między kolanami, że nie czuły jak gdyby niepewnych ruchów muchy.

Wycie wiatru stało się nagle wyraźne i mgła mineralna, otaczająca autokar, zgęstniała jeszcze. Piasek uderzał teraz garściami o szyby, jakby ciskały go niewidzialne ręce. Mucha poruszyła zmarzniętym skrzydłem, ugięła nóżki i odleciała. Autokar zwolnił; zdawało się, że stanie. Potem wiatr się uspokoił, mgła przerzedziła się nieco i autokar nabrał szybkości. Dziury światła otwierały się w krajobrazie zatopionym w kurzu. Dwie czy trzy smukłe i zbiegłe palmy, jakby wycięte w metalu, pojawiły się nagle w oknie, żeby zniknąć za chwilę.

– Co za kraj! – powiedział Marcel.

Autokar był pełen Arabów; zatuleni w burnusy udawali, że śpią. Kilku z nich podciągnęło nogi na ławkę, kiwali się bardziej niż inni przy ruchach autokaru. Ich milczenie i obojętność ciążyły już Janine; zdawało jej się, że od wielu dni podróżuje z tą niemą eskortą. Autokar wyruszył jednak o świcie z ostatniej stacji kolejowej i od dwóch godzin w chłodnym poranku jechał kamienistym, beznadziejnym płaskowzgórzem, którego linie, z początku przynajmniej, biegnęły prosto do czerwonego horyzontu. Ale wiatr się podniósł i z wolna połknął ogromną przestrzeń. Od tej chwili pasażerowie nic nie widzieli; umilkli jeden po drugim i żeglowali w milczeniu w tej białej nocy ocierając od czasu do czasu usta i oczy, które drażnił piasek wdzierający się do środka.

– Janine!

Podskoczyła słysząc głos męża. Pomyślała raz jeszcze, że imię to jest śmieszne dla wielkiej i tęgiej kobiety jak ona. Marcel chciał wiedzieć, gdzie jest kuferek z próbkami. Zbadała nogą pustą przestrzeń pod ławką i napotkała przedmiot, który wydał jej się kuferkiem. Kiedy się schylała, brakło jej oddechu. A jednak w gimnazjum była pierwsza w gimnastyce, oddech miała wspaniały. Czy to było tak dawno? Przed dwudziestu pięciu laty. Dwadzieścia pięć lat, to nie liczyło się wcale, skoro wydawało jej się, że to wczoraj jeszcze się wahała, czy wybrać niezależne życie, czy małżeństwo, że wczoraj jeszcze myślała z lękiem o dniu, w którym zacznie się starzeć, może samotna. Nie była sama; ten student prawa, który nie chciał jej nigdy opuścić, znajdował się teraz u jej boku. W końcu zgodziła się na niego, choć był trochę za niski, choć nie bardzo lubiła jego zachłanny, krótki śmiech i jego czarne, zbyt wypukłe oczy. Ale lubiła jego odwagę życiową cechującą Francuzów w tym kraju. Lubiała również jego zaskoczona minę, kiedy wypadki lub ludzie zawiedli jego oczekiwania. Nade wszystko zaś lubiła być kochaną, a on zabiegał o nią nieustannie. Dając jej tak często odczuć, że istnieje dla niego, sprawił, że istniała naprawdę. Nie, nie była sama...

Autokar, trąbiąc głośno, torował sobie drogę przez niewidzialne przeszkody. Wewnątrz jednak nikt się nie ruszał. Janine poczuła nagle, że ktoś na nią patrzy, i odwróciła się ku ławce po drugiej stronie przejścia, stanowiącej przedłużenie jej ławki. Nie był to Arab; zdziwiła się, że nie zauważyła go przy wyjeździe. Miał na sobie mundur saharyjskich jednostek francuskich, kepi z brunatnego płótna osłaniało ciemną, długą i spiczastą twarz szakala. Przyglądał się jej jasnymi oczami uparcie i z jakąś posepnością. Zaczerwieniła się nagle i przysunęła do męża, który niezmiennie patrzył przed siebie, w mgłę i wiatr. Otuliła się w płaszcz. Ale widziała wciąż długiego i szczupłego żołnierza francuskiego, tak szczupłego w swej dopasowanej kurtce, jak gdyby był zbudowany z suchego i kruchego materiału, mieszaniny piasku i kości. W tej samej chwili ujrzała chude ręce i spalone twarze Arabów siedzących przed nią i zauważyła, że mimo szerokich ubrań było im przestronnie na ławkach, gdy jej mąż i ona ledwo się mieścili. Zgarnęła połę płaszcza. A jednak nie była tak tęga, raczej wysoka i pełna, cielesna i jeszcze budząca pożądanie – mówiły jej spojrzenia mężczyzn – ze swoją trochę dziecinną twarzą o świeżych i jasnych oczach, kontrastującą z tym dużym ciałem, o którym wiedziała, że jest ciepłe i że daje odpoczynek.

Nie, wszystko ułożyło się inaczej, niż przypuszczała. Sprzeciwiła się, gdy Marcel chciał ją zabrać ze sobą w ten objazd. Myślał o nim od dawna, od końca wojny właściwie, od chwili kiedy handel zaczął iść normalnie. Przed wojną powodziło im się raczej dobrze; żyli z małego sklepu bławatnego, który Marcel odziedziczył po rodzicach, gdy porzucił prawo. Na wybrzeżu lata młodości mogą być szczęśliwe. Ale on nie bardzo lubił wysiłek fizyczny i wkrótce przestali chodzić na plażę. Tylko w niedzielę wyjeżdżali z miasta małym samochodem. Resztę czasu wołał spędzać w swym sklepie z różnokolorowymi materiałami, w cieniu arkad tej na wpół arabskiej, na wpół europejskiej dzielnicy. Mieszkali nad sklepem w trzypokojowym mieszkaniu ozdobionym arabskimi tkaninami i meblami z magazynów „Barbes”. Nie mieli dzieci. Lata mijaly w półcieniu, przy na wpół zamkniętych okiennicach. Lato, plaże, przechadzki, niebo nawet, wszystko to było daleko. Zdawało się, że Marcela obchodzą tylko jego interesy. Janine odkryła jego prawdziwą namiętność, to znaczy pieniądze; nie lubiła tego, choć nie bardzo wiedziała czemu. W końcu przecież korzystała z nich. Marcel nie był skąpy: szczodry raczej, zwłaszcza gdy szło o nią. „Jeśli coś mi się stanie – mówił – będziesz zabezpieczona.” Rzeczywiście, trzeba zabezpieczyć się przed potrzebą. Ale jak się zabezpieczyć przed tym, co nie jest potrzebą najprostszą? To właśnie czuła czasem niejasno. Na razie pomagała Marcelowi prowadzić księgi handlowe i zastępowała go niekiedy w sklepie. Najtrudniej było w lecie, gdy upał zabijał wszystko, nawet łagodne uczucie nudy.

Nagle, w samym środku lata właśnie, wybuchła wojna. Marcel został zmobilizowany, potem zwolniony; brak było tkanin, interesy nie szły; ulice były puste i gorące. Gdyby teraz coś się stało, nie byłaby zabezpieczona. Dlatego właśnie, ledwo tkaniny pojawiły się na rynku, Marcel postanowił objechać wsie na płaskowzgórzach i na południu, żeby sprzedawać swoje materiały kupcom arabskim bez udziału pośredników. Chciał ją wziąć ze sobą. Wiedziała, że podróż będzie uciążliwa, łatwo traciła oddech; wolałaby poczekać na niego na miejscu. Ale Marcel się uparł; zgodziła się; trzeba było zbyt wiele energii, żeby odmówić. Jechali teraz i, doprawdy, nic nie było podobne do tego, co sobie wyobrażała. Obawiała się upału, rojących się much, brudnych hoteli, gdzie pełno anyżowych zapachów. Nie myślała o zimnie, o tnącym wietrze, o tych polarnych niemal, pełnych moren płaskowzgórzach. Marzyła o palmach i miękkim piasku. Wiedziała teraz, że to nie jest pustynia, że pustynia to tylko kamień, wszędzie kamień, na niebie nawet, które przesłaniał zgrzytający i zimny pył kamienny, i na ziemi, gdzie między kamieniami rosły jedynie suche trawy.

Autokar zatrzymał się gwałtownie. Szofer mruknął kilka słów w języku, który słyszała przez całe życie nigdy go nie rozumiejąc.

– Co się stało? – zapytał Marcel.

Szofer powiedział, po francusku tym razem, że piasek zatkał zapewne karburator, i Marcel znowu przeklął ten kraj. Szofer roześmiał się szczerząc wszystkie zęby i zapewnił, że to głupstwo, oczyści karburator i zaraz pojedą. Otworzył drzwiczki; zimny wiatr wdarł się do środka i natychmiast pokrył im twarze warstwą miążskiego piasku. Arabowie wsunęli nosy w burnusy i jakby zebrali się w sobie.

– Zamknij drzwiczki – wrzasnął Marcel. Szofer śmiał się, idąc znów ku drzwiczkom. Bez pośpiechu wziął kilka narzędzi znajdujących się w schowku pod tablicą rozdzielczą, potem, pomniejszony przez mgłę, znikł, znowu nie zamykając drzwiczek. Marcel westchnął.

– Możesz być pewna, że nigdy w życiu nie widział motoru.

– Daj spokój! – powiedziała Janine. Nagle drgnęła. Na nasypie, tuż obok autokaru, jakieś udrapowane postacie stały nieruchomo. Spod kapturów i zasłon wyzierały tylko ich oczy. Niemi, przybyli nie wiadomo skąd, patrzyli na podróżnych.

– Pasterze – rzekł Marcel.

W autokarze panowała zupełna cisza. Wszyscy pasażerowie opuścili głowy i zdawało się, że słuchają głosu wiatru, wolnego wreszcie na tych bezkresnych przestrzeniach. Janine uderzyło nagle, że w autokarze niemal zupełnie brak bagaży. Na ostatniej stacji kolejowej szofer załadował na dach ich kufer i kilka paczek. W siatkach wewnątrz autokaru widać było tylko sękaty kij i płaskie kosze. Wszyscy ci ludzie z Południa podróżowali najwidoczniej z pustymi rękami.

Ale wrócił szofer, żwawy jak i przedtem. Tylko oczy śmiały mu się nad zasłoną, którą także przykrył twarz. Oświadczył, że jadą. Zamknął drzwiczki, wiatr umilkł i słychać było wyraźniej uderzający o szyby deszcz piasku. Motor zakaszał, potem zgasł. Długo dał się prosić, ale zapalił się wreszcie; szofer dał gazu, motor zawył i autokar ruszył jak w czkawce. Z obdartego tłumy nieruchomych wciąż pasterzy jakaś ręka podniosła się do góry, potem roztopiła się we mgle za nimi. Niemal natychmiast autokar zaczął podskakiwać na gorszej teraz drodze. Arabowie, potrząsani ruchem wozu, kiwali się nieustannie. Janine czuła już, że ogarnia ją sen, kiedy pojawiło się przed nią żółte pudełko wypełnione pastylkami. Żołnierzszakał uśmiechał się do niej. Zawahała się, wzięła pastylkę i podziękowała. Szakał włożył pudełko do kieszeni i momentalnie połknął swój uśmiech. Teraz nie odrywał oczu od drogi. Janine zwróciła się w stronę Marcela i ujrzała tylko jego mocny kark. Patrzył przez szyby na gęstniejącą mgłę, która wznosiła się z kruchych usypisk.

Jechali już przez wiele godzin i zmęczenie zgasiło wszelkie życie w autokarze, kiedy krzyki rozległy się z zewnątrz. Dzieci w burnusach biegły ze wszystkich stron pojazdu, kręcąc się w kółko jak bąki, skacząc i klaszcząc w ręce. Autokar jechał teraz długą ulicą, obudowaną niskimi domami; wjeżdżali do oazy. Wiatr wiał ciągle, ale mury zatrzymywały cząsteczki piasku, który nie zaciemniał już światła. Niebo było jednak zachmurzone. Autokar stanął wśród krzyków i zgrzytu hamulców przed glinianymi arkadami hotelu o brudnych szybach. Janine wysiadła; na ulicy poczuła, że się chwieje. Ponad domami widziała żółty i delikatny minaret. Z lewej strony rysowały się pierwsze palmy oazy, zapagnęła iść ku nim. Ale choć było blisko południe, przenikał ją chłód; zadrżała pod powiewem wiatru. Obejrzała się za Marcelem i zobaczyła idącego jej naprzeciw żołnierza. Czekwała na jego uśmiech lub ukłon. Przeszedł, nie patrząc na nią, i znikł. Marcel był zajęty kufrem z materiałami, czarnym, oficerskim kufrem sterczącym na dachu autokaru. Zdjąć go nie będzie rzeczą łatwą. Szofer nie miał nikogo do pomocy; stał, wyprostowany, na dachu i wygłaszał emfaticzne przemówienia do publiczności w burnusach, zgromadzonej wokół autokaru. Otoczona twarzami wyciętymi jakby w kości i skórze, napastowana gardłowymi krzykami Janine poczuła nagle, jak jest zmęczona.

– Idę – powiedziała do Marcela, który niecierpliwie popędzał szofera.

Weszła do hotelu. Właściciel, chudy i milczący Francuz, wyszedł jej naprzeciw. Zaprowadził ją na pierwsze piętro; galeryjka biegnąca nad ulicą wiodła do pokoju, gdzie stało tylko żelazne łóżko i białe lakierowane krzesło, wieszak nie osłonięty niczym i, za trzciniowym parawanem, umywalnia pokryta warstwą miążkiego piasku. Kiedy hotelarz zamknął drzwi, Janine poczuła chłód idący od nagich i bielonych ścian. Nie wiedziała, co ma zrobić z torbą, co zrobić ze sobą. Mogła tylko położyć się albo stać, drżąc z zimna w obu pozycjach. Stała więc z torbą w ręce, patrząc na rodzaj strzelnicy w ścianie, blisko sufitu, przez którą widać było niebo. Czekwała, ale nie wiedziała na co. Czuła tylko swoją samotność, przenikającą ją zimno i coraz większy ciężar w okolicy serca. Była jak we śnie, głucha niemal na hałasy z ulicy i krzyki Marcela, słysząc tylko dobiegający z otworu odgłos rzeki, który wiatr wydobywał spośród palm, i zdawało jej się, że palmy są teraz blisko. Potem wiatr jakby przybrał na sile, łagodny szum wody zamienił się w gwizd fal. Wyobrażała sobie, że za ścianami jest skłębione morze prostych i giętkich palm, falujące w czas burzy. Wszystko było inne, niż się spodziewała; ale te niewidoczne fale odświeżały jej zmęczone oczy. Stała trochę zgarbiona, ze zwisającymi rękami, ciężka, czuła zimno ciągnące wzdłuż jej ociężałych nóg. Marzyła o prostych palmach i o młodej dziewczynie, jaką kiedyś była.

Umyli się i zeszli do jadalni. Na nagich ścianach były namalowane wielbłądy i palmy w różowofioletowym sosie. Przez łukowate sklepienie okna wchodziło skąpe światło. Marcel wypytywał właściciela hotelu o kupców. Obiad podawał im stary Arab z przypiętym do bluzy orderem wojskowym. Marcel skubał chleb w zamyśleniu. Zabronił żonie pić wodę.

– Nie jest przegotowana. Napij się wina. – Nie lubiła pić wina, stawała się potem ociężała. Podano im wieprzowinę. – Koran zabrania jeść wieprzowinę. Ale Koran nie przewidywał, że po dobrze ugotowanej wieprzowinie człowiek nie choruje. My, Francuzi, umiemy gotować. O czym myślisz?

Janine nie myślała o niczym; może o tym zwycięstwie kucharzy nad prorokami. Ale musiała się śpieszyć. Wyjeżdżają jutro rano, bardziej jeszcze na południe: w ciągu poobiednich godzin musieli zobaczyć się z ważniejszymi kupcami. Marcel popędzał starego Araba, żeby przyniósł kawę. Arab zgodził się skinieniem głowy, bez uśmiechu, i wyszedł drobnymi krokami.

– Śpiesz się powoli – powiedział Marcel ze śmiechem.

Ale kawa zjawiała się wreszcie. Ledwie mieli czas ją przełknąć i zaraz wyszli na zakurzoną i zimną ulicę. Marcel zawołał jakiegoś młodego Araba, żeby pomógł mu nieść kufer, ale z zasady wyklócał się o zapłatę. Miał swój pogląd, który przedstawił Janine po raz setny; ów pogląd opierał się na niejasnym założeniu, że Arabowie żądają zawsze podwójnej zapłaty, żeby otrzymać ćwierć. Janine szła za mężczyznami. Czuła się nieswojo. Włożyła wełniany kostium pod swój obszerny płaszcz; chciałaby zajmować mniej miejsca. Wieprzowina, choć dobrze ugotowana, i wino, które wypila, także jej nie posłużyły.

Szli wzdłuż małego publicznego ogrodu, gdzie rosły zakurzone drzewa. Spotkani Arabowie usuwali się na bok, zgarniając poły burnusów, ale zdawało się, że ich nie dostrzegają. Twarze mieli dumne, nawet jeśli nosili łachmany; nie widywała tego wyrazu twarzy u Arabów w swym mieście. Szła za kufrem, który otwierał jej drogę poprzez tłum. Przez bramę w wale zbudowanym z żółtawej gliny wyszli na placyk wysadzany drzewami, które także były jak z minerału; w głębi, tam gdzie placyk był najszerszy, ciągnęły się arkady i sklepy. Ale zatrzymali się przed budynkiem w kształcie pocisku, pomalowanym wapnem na niebiesko. Wewnątrz, w jedynej izbie, do której światło wchodziło tylko przez drzwi, za deską ze lśniącego drewna, stał stary Arab o białych wąsach. Nalewał właśnie herbatę, podnosząc i opuszczając czajnik nad trzema kolorowymi szklaneczkami. W drzwiach jeszcze, zanim mogli coś więcej dojrzeć w półmroku, poczuli świeży zapach herbaty miętowej. Zaledwie Marcel przekroczył próg drzwi obwieszonych girlandami czajników cynowych, filiżanek i tac, między którymi znajdowały się pocztówki na stelażach, już był przy ladzie. Janine zatrzymała się przy wejściu. Odsunęła się nieco, żeby nie zasłaniać światła. W tej samej chwili, w półcieniu za starym kupcem, zobaczyła dwóch Arabów; siedząc na pękatych workach, którymi sklepik był zastawiony w głębi, patrzyli na nich z uśmiechem. Ze ścian zwisały czerwone i czarne dywany oraz haftowane chustki, na podłodze pełno było worków i małych skrzynek z pachnącym ziarnem. Pośrodku lady znajdowała się waga o połyskujących miedzianych szalach i stary metr o zatartej podziałce; dookoła stały głowy cukru, z których jedna, odwinęta z powijaków grubego niebieskiego papieru, była napoczęta u końca. Zapach wełny i korzeni, unoszący się w sklepie, przebił się przez zapach herbaty, kiedy stary kupiec postawił czajnik na ladzie i powiedział:

– Dzień dobry.

Marcel mówił szybko i cicho, jak zawsze, kiedy chodziło o interesy. Potem otworzył kufer, pokazał materiały i chustki, i odsunął wagę i metr, żeby rozłożyć swój towar przed starym Arabem. Denerwował się, podnosił głos, śmiał się nieustannie, zachowywał się jak kobieta, która chce się podobać, a nie jest siebie pewna. Teraz szeroko otworzył dłonie i odgrywał gestami sprzedaż i kupno. Stary potrząsnął głową, podał tacę z herbatą dwóm Arabom z tyłu i powiedział tylko kilka słów, które zraziły jakby Marcela. Marcel zgarnął materiały, wpakował je do kufra, potem otarł z czoła pot, którego zapewne na nim nie było. Zawołał tragarza i ruszyli ku arkadom. W pierwszym sklepie, choć kupiec z początku przybierał miny równie olimpijskie, powiodło im się lepiej:

– Mają się za Bóg wie co, ale także muszą sprzedawać! Życie jest ciężkie dla wszystkich.

Janine szła, nie odpowiadając. Wiatr niemal ustał. Niebo było miejscami czyste. Zimne i lśniące światło schodziło z niebieskich studni, które przebiły warstwę chmur. Opuścili już plac. Szli małymi uliczkami, wzdłuż glinianych murów, z których zwisały zwiędłe róże grudniowe, a czasem zeschły i robaczywy granat. W powietrzu unosił się zapach kurzu, kawy i kamienia, dym z palącej się kory, odór barani. Sklepy wydrążone w ścianie muru były daleko od siebie; Janine czuła ciężar swych nóg. Ale jej mąż odzyskiwał z wolna humor: zaczął sprzedawać i był teraz usposobiony bardziej pojednawczo. Mówił do Janine:

– Złotko, wyprawa nie pójdzie na marne.

– Oczywiście – powiedziała Janine – lepiej porozumieć się z nimi bezpośrednio.

Wrócili do centrum inną ulicą. Było już późne popołudnie, niebo przetarło się niemal zupełnie. Zatrzymali się na placu. Marcel zacierał ręce, patrzył czule na kufer przed nimi.

– Spójrz – powiedziała Janine.

Z drugiego końca placu szedł wysoki Arab, szczupły i mocny, w błękitnym burnusie, w zgrabnych żółtych butach, w rękawiczkach, wysoko niosąc głowę o orlej i opalanej twarzy. Tylko dzięki turbanowi można go było odróżnić od tych francuskich oficerów kolonialnych, których Janine podziwiała niekiedy. Szedł regularnym krokiem w ich stronę, powoli zdejmował rękawiczkę z jednej ręki i zdawało się, że patrzy gdzieś ponad ich głowami.

– Proszę – rzekł Marcel, wzruszając ramionami – wyobraża sobie, że jest generałem.

Tak, wszyscy wyglądali tu dumnie, ale ten, doprawdy, przesadzał. Choć plac był wokół pusty, szedł prosto na kufer, nie widząc kufra i nie widząc ich. Dzieliąca ich przestrzeń zmniejszała się szybko i Arab zbliżał się do nich, kiedy Marcel uchwycił nagle kufer za uchwyt i odsunął go do tyłu. Arab przeszedł, jakby nic nie zauważył, i regularnym wciąż krokiem skierował się ku wałom. Janine spojrzała na męża; miał niepewną minę.

– Myślą teraz, że wszystko im wolno – powiedział.

Janine milczała. Głupia arogancja Araba przejmowała ją wstrętem, poczuła się nagle nieszczęśliwa. Pragnęła wyjechać, myślała o swoim małym mieszkaniu. Myśl o powrocie do hotelu, do tego lodowatego pokoju, budziła w niej niechęć. Przypomniała sobie nagle, że właściciel hotelu poradził jej, żeby poszła na taras fortu, skąd widać pustynię. Powiedziała o tym Marcelowi, dodając, że mogą zostawić kufer w hotelu. Ale Marcel był zmęczony, chciał przespać się trochę przed kolacją.

– Proszę cię – powiedziała Janine.

Spojrzał na nią z nagłą uwagą.

– Ależ oczywiście, kochanie – odparł.

Czekała na niego na ulicy przed hotelem. Biało ubrany tłum stawał się coraz gęstszy. Nie było ani jednej kobiety i Janine pomyślała, że nigdy nie widziała tylu mężczyzn. Ale żaden nie patrzył na nią. Choć zdawało się, że jej nie widzą, zwracali ku niej szczupłe i ciemne twarze, zupełnie do siebie podobne w jej oczach. Twarz francuskiego żołnierza w autokarze, twarz Araba w rękawiczkach, wciąż ta sama podstępna i dumna twarz. Zwracali te twarze ku obcej kobiecie, nie widzieli jej i potem, cicho i lekko, przechodzili obok Janine, której puchły kostki u nóg. Jej niepokój, jej pragnienie wyjazdu rosły. „Po co tu przyjechałam?” Ale Marcel już schodził.

Była piąta po południu, kiedy weszli na schody fortu. Wiatr ustał zupełnie. Czyste niebo miało kolor barwinku. Chłód, bardziej teraz ostry, kłuł im policzki. Stary Arab, leżący pod ścianą pośrodku schodów, zapytał ich, czy potrzebują przewodnika, ale nie ruszając się z miejsca, jakby z góry pewien ich odmowy. Schody były wysokie i strome, choć często miały podesty z ubitej ziemi. W miarę jak się wspinali, przestrzeń poszerzała się, szli w górę w świetle coraz rozleglejszym, zimnym i suchym, w którym każdy odgłos z oazy dochodził do nich wyraźny i czysty. Zdawało się, że rozświetlone powietrze drga wokół nich drganiem tym dłuższym, im byli wyżej, jak gdyby ich kroki rodziły w kryształach światła falę dźwięku, rozszerzającą się coraz bardziej. I w chwili gdy znaleźli się na tarasie i ich spojrzenia zgubiły się w ogromnym horyzoncie za gajem palmowym, Janine wydało się, że całe niebo rozbrzmiało nagle jedną głośną i krótką nutą, której echa z wolna wypełniały przestrzeń nad nią, potem zamilkły nagle, żeby zostawić ją milczącą, twarzą w twarz z przestrzenią bez granic.

Jej spojrzenie, nie natrafiając na żadną przeszkodę, przenosiło się powoli ze wschodu na zachód po idealnej krzywej. W dole niebieskie i białe tarasy miasta arabskiego piętrzyły się jeden nad drugim, zakrwawione ciemnoczerwonymi plamami pieprzowców. Nie widać było nikogo, ale z wewnętrznych dziedzińców, wraz z pachnącym dymem palonej kawy, dobiegały odgłosy śmiechu albo nieokreślonego tupotu. Nieco dalej gaj palmowy, podzielony na nierówne kwadraty ścianami z glinki, szumiał poruszany wiatrem, którego nie czuło się na tarasie. Jeszcze dalej, aż do horyzontu, zaczynało się ugrowszare królestwo kamieni, gdzie nie widać było śladu życia. Tylko w pewnej odległości od oazy, obok strumienia, który na zachodzie stanowił przedłużenie gaju, można było dostrzec szerokie czarne namioty. Stado nieruchomych dromaderów, małych z tej odległości, układało się na szarej ziemi wokół w ciemne znaki dziwnego pisma, którego sens trzeba było odcyfrowywać. Cisza nad pustynią była równie niezmierna jak przestrzeń.

Janine, wsparta całym ciałem o parapet, stała bez głosu, nie mogąc oderwać się od próżni, która otwierała się przed nią. Obok Marcel poruszył się niespokojnie. Było mu zimno, chciał zejść. Co tu jest do oglądania? Ale ona nie mogła oderwać wzroku od horyzontu. Wydało jej się nagle, że tam, jeszcze bardziej na południe, w miejscu, gdzie niebo i ziemia łączyły się czystą linią, coś na nią czeka, coś, czego nie знаła do dzisiaj, a przecież wciąż jej tego brakowało. W chyłącym się ku wieczorowi popołudniu światło łagodniało powoli; z krystalicznego stawało się płynne. W sercu kobiety, którą sprowadził tu tylko przypadek, pętla zaciśnięta przez lata, przyzwyczajenie i nudę rozluźniała się z wolna. Patrzyła na obozowisko koczowników. Nie widziała ludzi, którzy tu żyli, nic nie poruszało się pomiędzy czarnymi namiotami, a jednak mogła myśleć tylko o nich, choć do dziś zaledwie wiedziała o ich istnieniu. Bezdomni, odcięci od świata, byli garstką błądzącą po nieogarnionej ziemi, którą odkrywała spojrzeniem, a która była przecież tylko śmieszną małą cząstką jeszcze większej przestrzeni, uciekającej zawrotnie przez tysiące kilometrów, by zatrzymać się bardziej na południe, tam gdzie pierwsza rzeka użyźnia wreszcie las. Od niepamiętnych czasów po suchej, zdrapanej aż do kości ziemi tego niezmiernego kraju wędrowała nieustannie garść ludzi, którzy nie posiadali nic, ale nie służyli nikomu, nędzni i wolni władcy dziwnego królestwa. Janine nie wiedziała, dlaczego ta myśl przejmowała ją smutkiem tak pełnym słodyczy i tak ogromnym, że zamknęła oczy. Wiedziała tylko, że to odwieczne królestwo było jej przyrzeczone i że mimo to nigdy nie będzie jej królestwem, nigdy, chyba że w tej przelotnej chwili, gdy otworzyła oczy i ogarnęła spojrzeniem nieruchome nagle niebo i stężale fale światła, a głosy dochodzące z arabskiego miasta zamilkły nagle. Wydało jej się, że zatrzymał się bieg świata, że nikt od tej chwili nie będzie się starzał i umierał. Życie stanęło, tylko w jej sercu ktoś płakał z bólu i zachwytu.

Ale światło znów było w ruchu, czyste chłodne słońce schyliło się ku zachodowi, który zaróżowił się lekko; na wschodzie rodziła się szara fala, gotowa zalać powoli ogromną przestrzeń. Zawył pierwszy pies, jego daleki skowyt wzniosł się jeszcze bardziej. Janine spostrzegła, że dzwoni zębami.

– Zamarzniemy na śmierć – powiedział Marcel – jesteś głupia. Wracajmy.

Ale wziął ją niezgrabnie za rękę. Odwróciła się posłusznie od parapetu i poszła za nim. Nieruchomy stary Arab ze schodów patrzył, jak idą ku miastu. Szła, nie widząc nikogo, zgięta ogromnym i nagłym zmęczeniem, wlokąc ciało, którego ciężar wydawał jej się teraz nie do zniesienia. Opuściła ją egzaltacja. Teraz czuła się za wielka, za tęga, za biała również do tego świata, do którego przed chwilą weszła. Dziecko, młoda dziewczyna, szczupły mężczyzna, skradający się szakal to były jedyne istoty, które mogły przebiegać tę ziemię. Cóż może robić tu teraz innego, jak wlec się aż do snu, aż do śmierci?

Wlokła się rzeczywiście do restauracji u boku męża, który milkł nagle lub mówił o swoim zmęczeniu, ona zaś walczyła słabo z przeziębieniem, czując ogarniającą ją gorączkę. Dowlokła się jeszcze do łóżka, Marcel położył się obok i zgasił natychmiast światło, niczego od niej nie żądając. Pokój był lodowaty. Janine czuła, jak przenika ją zimno razem z idącą w górę gorączką. Oddychała z trudem, krew pulsowała, nie rozgrzewając jej; rósł w niej lęk. Odwróciła się, stare żelazne łóżko zaskrzypiało pod jej ciężarem. Nie, nie chciała być chora. Jej mąż już spał, ona także powinna spać, trzeba spać. Przytłumione hałasy miasta dochodziły do niej przez otwór w ścianie. Stare gramofony kawiarń mauretańskich śpiewały nosowym głosem melodie, które wydawały się jej znajome; docierały do niej wraz ze zgiełkiem tłumy. Trzeba spać. Ale Janine liczyła czarne namioty; pod powiekami pały się nieruchome wielbłądy; wirowały w niej ogromne pustkowia. Tak, dlaczego przyjechała? Zasnęła przy tym pytaniu.

Obudziła się trochę później. Wokół była zupełna cisza. Ale na krańcach miasta ochryple psy wyły w niemej nocy. Janine zadrżała. Odwróciła się znowu, poczuła przy swoim ramieniu twarde ramię męża i nagle, na wpół jeszcze śpiąc, przytuliła się do niego. Odpływała od brzegu na powierzchni snu, trzymając się tego ramienia nieświadomie, zachłannie, jakby to był jej najpewniejszy port. Mówiła, ale żaden dźwięk nie wychodził z jej ust. Mówiła, ale ledwie słyszała się sama. Czuła tylko ciepło Marcela. Od dwudziestu z górą lat co noc w jego ciepłe, zawsze ich dwoje, nawet gdy byli chorzy, nawet w podróży, jak teraz... Co zrobiłaby zresztą sama w domu? Nie miała dziecka! Czy nie tego jej brakowało? Nie wiedziała. Szła za Marcellem, ot i wszystko, rada, że ktoś jej potrzebuje. Nie dawał jej innej radości prócz tej, że czuła się potrzebna. Na pewno jej nie kochał. Miłość, nawet pełna nienawiści, nie ma tej kwaśnej twarzy. Ale jaka jest twarz miłości? Kochali się w nocy, nie widząc siebie, po omacku. Czy jest inna miłość prócz miłości w ciemnościach, czy jest miłość krzycząca w świetle dnia? Nie wiedziała, ale wiedziała, że jest Marcelowi potrzebna i że ta potrzeba jest jej potrzebna, że żyje nią dniem i nocą, nocą zwłaszcza, noc w noc, kiedy nie chciał być sam ani starzeć się, ani umrzeć, z tym swoim wyrazem uporczywości, jaki dostrzegała czasem na twarzach innych mężczyzn, jedynym wspólnym wyrazem tych obłąkańców, którzy maskują się, przybierając rozsądne miny aż do chwili, kiedy ogarnia ich szaleństwo i rzuca rozpaczliwie ku ciału kobiety, bez pragnienia, szukających w nim ucieczki przed tym, co straszne w samotności i nocy.

Marcel poruszył się lekko, jakby chciał odsunąć się od niej. Nie, nie kochał jej, po prostu bał się tego, co nie było nią; ona i on od dawna powinni byli się rozłączyć i spać samotnie aż do końca. Ale ktoś potrafi spać zawsze sam? Są ludzie, którzy śpią sami, powołanie lub nieszczęście odcięło ich od innych, i ci śpią co dzień w jednym łóżku ze śmiercią. Marcel nie potrafiłby nigdy, zwłaszcza on, słabe i bezbronne dziecko, którego zawsze przerażało cierpienie, jej dziecko, tak, była mu potrzebna, jęknął w tej chwili. Przycisnęła się mocniej do niego, położyła rękę na jego piersi. I w myśli przywołała go miłosnym imieniem, nazywała go tak dawniej, czasem jeszcze używali tego imienia teraz, ale nie myśląc o tym, co mówią.

Wołała go z całego serca. Ona także potrzebowała go przecież, jego siły, jego drobnych manii, ona także bała się śmierci. „Gdybym przewyciężyła ten strach, byłabym szczęśliwa...” Natychmiast ogarnął ją lęk bez nazwy. Oderwała się od Marcela. Nie, nie przewycięży niczego, nie jest szczęśliwa, umrze naprawdę, nie zaznawszy wyzwolenia. Serce ją bolało, dusiła się pod ogromnym ciężarem, świadoma nagle, że wlecze go od dwudziestu lat; teraz walczyła z nim ze wszystkich sił. Chce wyzwolenia, nawet jeśli Marcel, nawet jeśli inni nie zaznają go nigdy! Przebudzona, wyprostowała się na łóżku i nasłuchiwała wołania, które wydawało jej się bliskie. Ale z krańców nocy doszły do niej tylko osłabłe i niez mordowane głosy psów z oazy. Podniósł się słaby wiatr, słyszała, jak poruszał lekkie wody palmowego gaju. Szedł z południa, stamtąd gdzie pustynia i noc łączyły się teraz pod nieruchomym znów niebem, stamtąd gdzie zatrzymywało się życie, gdzie nikt już się nie starzał i nie umierał. Potem wody wiatru ucichły i nie była nawet pewna, czy coś słyszała prócz niemego wołania, któremu mogła przecież nakazać milczenie lub słyszeć je, ale sensu jego nie pozna nigdy, jeśli nie odpowie na nie natychmiast. Natychmiast, tak, to przynajmniej jest pewne!

Podniosła się cicho i stała bez ruchu obok łóżka, nasłuchując oddechu męża. Marcel spał. W chwilę potem opuściło ją ciepło łóżka, poczuła chłód. Ubrała się powoli, po omacku szukając rzeczy w słabym świetle, które poprzez żaluzje szło od lamp ulicznych. Z pantoflami w ręce podeszła do drzwi. Czekwała przez chwilę jeszcze w ciemnościach, potem otworzyła je cicho. Klamka zgrzytnęła; Janine znieruchomiała. Serce jej biło jak szalone. Nasłuchiwała; pokrzepiona ciszą, poruszyła znów klamką. Zdawało jej się, że obrót klamki ciągnie się w nieskończoność. Otworzyła wreszcie, wysłiznęła się na zewnątrz i tak samo ostrożnie zamknęła drzwi. Potem z policzkiem przy drzwiach nasłuchiwała. Po chwili usłyszała odległy oddech Marcela. Odwróciła się, lodowate powietrze uderzyło ją w twarz, pobiegła wzdłuż galeryjki. Drzwi wejściowe były zamknięte. Kiedy manewrowała zamkiem, na schodach ukazał się stróż nocny; twarz miał zagniewaną i powiedział do niej coś po arabsku.

– Wróć – zawołała Janine i rzuciła się w noc.

Girlandy gwiazd schodziły z czarnego nieba nad palmy i domy. Biegła krótką i pustą ulicą prowadzącą do fortu. Chłód, który nie musiał już teraz walczyć ze słońcem, zagarnął noc; lodowate powietrze paliło jej płuca. Na wpeł ślepa biegła w ciemności. U końca ulicy jednak pojawiły się światła, potem zeszły ku niej zygzakami. Stała, słysząc hałas; światła rosły, za chwilę ujrzała ogromne burnusy, pod którymi połyskiwały kruche koła rowerów. Burnusy otarły się o nią, trzy czerwone ognie wynurzyły się w czerni z tyłu, żeby zniknąć natychmiast. Ruszyła znów w stronę fortu. Gdy była pośrodku schodów, płomień powietrza przeciął jej płuca tak ostro, że chciała się zatrzymać. Ostatni poryw rzucił ją, wbrew jej woli, na taras, ku parapetowi, który uciskał jej teraz brzuch. Dyszała, wszystko migotało jej przed oczami. Bieg jej nie rozgrzał, drżała jeszcze całym ciałem. Ale zimne powietrze, które łykała nierównymi haustami, po chwili zaczęło w niej płynąć regularnie; nieśmiałe ciepło rodziło się w niej wśród dreszczy. Oczy otwarły się wreszcie na przestrzenie nocy.

Żaden powiew, żaden dźwięk prócz przytłumionego trzasku kamieni, które zimno obracało z powrotem w piasek, nie naruszało samotności i ciszy otaczającej Janine. Po chwili jednak wydało jej się, że jakiś ciężki ruch obrotowy uprowadza niebo nad nią. W głębokościach suchej i zimnej nocy rodziły się nieustannie tysiące gwiazd; ich połyskujące sopte odrywały się natychmiast i ześlizgiwały niepostrzeżenie ku horyzontowi. Janine z przykutym spojrzeniem śledziła te ognie bez steru. Obracała się wraz z nimi i ten sam nieruchomy bieg łączył ją z wolną z jej najgłębszą istotą, gdzie zimno i pragnienie walczyły teraz ze sobą. Przed nią spadały gwiazdy, jedna po drugiej, potem gasły wśród kamieni pustyni i za każdym razem Janine otwierała się bardziej, powolna nocy. Oddychała, zapomniła o zimnie, o ciężarze istot, o życiu obłąkanym lub zastygłym, o długim lęku, z którym się żyje i umiera. Po tylu latach, gdy uciekając przed strachem, biegła szaleńczo, bez celu, zatrzymała się wreszcie. Zdawało się jej zarazem, że odnajduje swoje korzenie, sok krążył znów w jej ciele, które już nie drżało. Przycisnąwszy brzuch do parapetu, cała napięta w ruchu, wyciągnięta ku niebu, czekała tylko, aż uspokoi się jej wzburzone serce i zapadnie w niej cisza. Grona ostatnich gwiazd zeszły nieco niżej na horyzont pustyni i znieruchomiały. Wówczas woda nocy, ze słodyczą nie do zniesienia, zaczęła napełniać Janine, pokonała zimno, wzniosła się wolno w górę z ciemnego wnętrza jej istoty i wylała niepowstrzymaną falą, sięgając do ust pełnych jęku. W chwilę potem niebo rozpostarło się nad nią, leżącą na zimnej ziemi.

Kiedy Janine wróciła tak samo ostrożnie, Marcel się nie obudził. Ale mruknął, gdy się kładła, i w kilka sekund potem siadł na łóżku gwałtownie. Mówił, nie rozumiała jednak, co mówi. Wstał, zapalił światło, które uderzyło ją prosto w twarz. Podszedł, kołysząc się, do umywalni i długo pił wodę mineralną z butelki, która tam stała. Miał już wejść do łóżka; z kolanem opartym na pościeli patrzył na nią, nie rozumiejąc. Płakała, nie mogąc zapanować nad sobą, łzy płynęły niepowstrzymanie po jej twarzy.

– To nic, kochanie – mówiła – to nic.

Renegat albo umysł zmacony

„Co za papka, co za papka! Trzeba uporządkować myśli. Odkąd odcięli mi język, jakiś inny język, nie wiem jaki, porusza się bez przerwy w mojej czaszce, coś albo ktoś mówi i milknie nagle, i potem wszystko znów się zaczyna, o, słyszę zbyt wiele rzeczy, których nie mówię, co za papka, a kiedy otwieram usta, to jakbym słyszał odgłos przesypywanych kamieni. Porządku, trzeba porządku, mówi język i mówi o czym innym jednocześnie, tak, zawsze pragnąłem porządku. Jedno przynajmniej jest pewne, czekam na misjonarza, który ma przyjechać, żeby mnie zastąpić. Jestem tu, na drodze, o godzinę marszu do Taghasa, ukryty w rumowisku skał, przysiadłem na starym karabinie. Dzień wstaje nad pustynią, jest jeszcze bardzo zimno, wkrótce będzie zbyt gorąco, ta ziemia doprowadza do szaleństwa, a ja od tylu lat, że straciłem już rachubę... Nie, jeszcze jeden wysiłek! Misjonarz powinien zjawić się dziś, rano albo wieczorem. Słyszałem, że przyjedzie z przewodnikiem, możliwe, że będą mieli tylko jednego wielbłąda na dwóch. Będę czekał, czekam, drżę z zimna, tylko z zimna. Czekaj cierpliwie, plugawy niewolniku!

Od tak dawna już czekam cierpliwie. Kiedy byłem w domu, tam, na wysokim płaskowzgórzu Masywu Centralnego, mój ordynarny ojciec, moja nieokrzesa matka, wino, zupa ze słoniną co dzień, a zwłaszcza wino, cierpkie i zimne, i przez całą zimę zaspy, wstrętne paproć, och, chciałem wyjechać, opuścić ich raz na zawsze i zacząć wreszcie żyć w słońcu, pić czystą wodę. Uwierzyłem proboszczowi, mówił mi o seminarium, codziennie poświęcał mi czas, miał go dość na tej protestanckiej ziemi, gdzie musiał przemykać się pod ścianami, idąc przez wieś. Mówił o przyszłości i słońcu, katolicyzm to słońce, powiadał, i kazał mi czytać, wpakował mi łacinę do twardej głowy: «Ten chłopiec jest inteligentny, ale prawdziwy muł», czaszkę mam zresztą tak twardą, że mimo wszystkich moich upadków nigdy nie krwawiła: «Głowa krowy», mówił mój ojciec, ta świnia. W seminarium byli bardzo dumni, przybysz z protestanckiej ziemi to było zwycięstwo, patrzyli na mnie jak na słońce Austerlitz. Bładowe słońce, co prawda, z powodu alkoholu, pili cierpkie wino i ich dzieci mają wykruszone zęby, ra ra zabić ojca, oto co trzeba było zrobić, ale nie ma strachu, że zechce mu się misji, skoro umarł dawno, kwaśne wino podziurawiło mu żołądek, pozostaje więc tylko zabić misjonarza.

Mam porachunki z nim i jego mistrzami, z moimi mistrzami, którzy mnie oszukali, z plugawą Europą, wszyscy mnie oszukali. Misja, tylko to słowo mieli na ustach, iść do dzikich i powiedzieć im: «Oto mój Pan, spójrzcie na niego, nie bije nigdy i nie zabija, rozkazuje łagodnym głosem, nadstawia drugi policzek, to największy z panów, wybierzcie go, zobaczcie, o ile uczynił mnie lepszym, znieważcie mnie, a będziecie mieli dowód». Tak, wierzyłem ra ra i czułem się lepszy, urosłem, byłem niemal piękny, pragnąłem zniewag. Kiedy maszerowaliśmy latem, pod słońcem Grenoble, zwartymi, czarnymi szeregami i spotykaliśmy dziewczyny w lekkich sukniach, nie odwracałem oczu, gardziłem nimi, spodziewałem się, że mnie znieważą, a one śmiały się czasem. Myślałem wówczas: «Niech mnie uderzą i pluną mi w twarz», ale ich śmiech najeżony kolcami i ostrzami, które mnie rozdzierały, to było doprawdy to samo, zniewaga i cierpienie były słodkie! Dyrektor nie rozumiał, kiedy się oskarżałem: «Ależ nie, jesteś dobry!». Ja dobry! we mnie było tylko cierpkie wino, ot i wszystko, i tym lepiej, jakże stać się lepszym, jeśli nie jest się złym, wyciągnąłem ten wniosek ze wszystkiego, czego mnie uczyli. Zrozumiałem właściwie tylko tę jedną myśl i ja, inteligentny muł, szedłem aż do końca, szedłem na spotkanie pokucie, skąpiłem sobie jedzenia, chciałem być przykładem, chciałem, żeby mnie widziano i widząc mnie, oddano hołd temu, co uczyniło mnie lepszym, poprzez mnie kłaniajcie się memu Panu.

Dzikie słońce! Wschodzi, pustynia się zmienia, nie jest to już cyklamenowa barwa gór, o moje góry, i śnieg, łagodny miękki śnieg, nic, (o żółty kolor z odcieniem szarawym, chwila posępna przed wielkim olśnieniem. Nic, nic na razie na horyzoncie przede mną, tam gdzie płasko wzgórze znika w kręgu delikatnych jeszcze barw. Za mną droga biegnie w górę aż do wydmy zasłaniającej Taghasa, miasto, którego żelazne imię dźwięczy w mej głowie od tylu lat. Pierwszy mówił mi o nim stary, na wpół ślepy ksiądz, który miał schronić się w klasztorze, ale dlaczego pierwszy, on jedyny, mnie zaś w jego opowiadaniu nie to uderzyło, że miasto było z soli, ani białe mury w gorącym słońcu, ale okrucieństwo dzikich mieszkańców, zamknęli miasto przed wszystkimi obcymi, tylko jeden z tych, którzy ośmielili się wejść, tylko jeden mógł opowiedzieć, co widział. Wychłostali go i wypędzili na pustynię, nasypawszy mu w pierw soli na rany i do ust, spotkał koczowników, tym razem litościwych, co za szczęście, a ja od tej chwili marzyłem o ogniu soli i nieba, o domu bożka i jego niewolnikach, czy można znaleźć coś bardziej barbarzyńskiego, bardziej podniecającego, tak, to była moja misja i musiałem iść, żeby pokazać im mojego Pana.

W seminarium usiłowali mnie zniechęcić, mówili: trzeba czekać, to nie jest kraj dla misji, nie jestem dojrzały, powinienem się specjalnie przygotować, wiedzieć, kim jestem, a i potem jeszcze należałoby mnie wypróbować, zobaczymy! Ale wciąż czekać, ach, nie! zgoda na specjalne przygotowania i próby, skoro ich miejscem miał być Algier, i one zbliżały mnie do celu, ale jeśli idzie o wszystko inne, kiwałem przecząco twardą głową i powtarzałem to samo, chcę iść do największych barbarzyńców i żyć ich życiem, wykazać im na miejscu w domu ich bożka na przykład, że nie ma prawdy potężniejszej nad prawdę mojego Pana. Oczywiście, oni mnie znieważą, ale nie bałem się zniewag, były konieczne dla przeprowadzenia dowodu, a znosząc je w pewien sposób, ujarzmiłbym tych dzikich jak potężne słońce. Potężne, tak, to słowo bez przerwy obracałem w ustach, marzyłem o absolutnej władzy, która rzuca na kolana, zmusza przeciwnika do kapitulacji, nawraca go, a im bardziej przeciwnik jest ślepy, okrutny, pewien siebie, zatwardziały, tym większa chwała tego, który spowodował jego klęskę. Nawracać zacnych i zbłąkanych ludzi, to był nędzny ideał naszych księży, pogardzałem nimi za to, że tyle mogli, a wazyli się na tak mało, nie mieli wiary, a ja ją miałem, chciałem, żeby uznali mnie nawet kaci, żeby padli na kolana i powiedzieli: «Panie, oto twoje zwycięstwo», chciałem samym słowem rządzić armią złych. Ach, wiedziałem, że mam rację, nigdy nie byłem zbyt pewny siebie w innych sprawach, ale kiedy już jakaś myśl jest moja, trzymam ją mocno, to moja siła, tak, moja siła, a wszyscy się nade mną litowali!

Słońce wzniosło się wyżej jeszcze, czoło zaczyna mnie palić. Kamienie wokół mnie trzeszczą głucho, tylko lufa strzelby jest świeża. Świeża jak łąki, jak deszcz wieczorny ongi, kiedy zupa gotowała się powoli, ojciec i matka czekali na mnie, czasem się do mnie uśmiechali, kochałem ich może. Ale to się skończyło, zasłona żaru zaczyna się podnosić z drogi, przyjdź, misjonarzu, czekam na ciebie, wiem teraz, jak trzeba odpowiedzieć na posłanie, moi nowi panowie udzielili mi lekcji i wiem, że mają rację, trzeba załatwić porachunki z miłością. Kiedy uciekłem z seminarium w Algierze, wyobrażałem sobie inaczej tych barbarzyńców, jedno było prawdziwe w moich snach, oni są źli. Ukradłem kasę z działu gospodarczego, zrzuciłem sutannę, ruszyłem przez Atlas, wysokie płaskowzgórza i pustynię, szofer z komunikacyjnej linii transsaharyjskiej kpił sobie ze mnie: «Nie jedź tam», on także, dlaczego wszyscy mówili to samo, zmierzwione fale piasku przez setki kilometrów, idące naprzód i cofające się potem pod wiatrem, i znów góry całe w czarnych iglicach, o krawędziach tnących jak żelazo, a potem trzeba było przewodnika, żeby przejść przez nieskończone morze brunatnych kamieni, wyjących z żaru, palących tysiącem luster najeżonych ogniem, aż do tego miejsca na granicy ziemi czarnych i kraju białych, gdzie wznosi się miasto z soli. I pieniądze, które ukradł przewodnik, naiwny, zawsze naiwny, pokazałem mu pieniądze, uderzył mnie, ale zostawił na drodze, tu właśnie: «Psie, oto droga, ja mam swój honor, idź, idź tam, oni cię nauczą», i oni nauczyli mnie, o tak, oni są jak słońce, które, wspaniałe i pyszne, przestaje bić tylko w nocy, bije mnie teraz mocno, zbyt mocno palącymi włóczniami, które nagle wyszły z ziemi, o schronić się, tak, schronić pod wielką skałą, zanim wszystko się zamąci.

Dobry jest ten cień tutaj. Jak można żyć w mieście z soli, w tej wklęsłej misce pełnej białego żaru? Cięte kilofem i ledwo wygładzone proste mury, we wrębach pozostawionych przez kilof najeżone są osłepiającymi łuskami, rozsypany płowy piasek żółci je nieco, i tylko wtedy, gdy wiatr oczyszcza ściany domów i tarasy, wszystko błyska piorunującą bielą, pod niebem odartym także ze swego błękitu. Ślepiłem w te dni, kiedy nieruchomy pożar trzeszczał przez całe godziny na powierzchni białych tarasów i zdawało się, że tarasy zrastają się ze sobą jak gdyby oni, którzy natarli kiedyś na górę soli, naprzód ją spłaszczyli, potem w tej bryle wyryli ulice, wnętrza domów i okna albo, tak, tak jest lepiej, jak gdyby wycięli swoje białe i płonące piekło dmuchawką z wrzącą wodą, żeby pokazać, że potrafią mieszkać tam, gdzie nikt nie potrafi, o trzydzieści dni drogi od wszelkiego życia, w tym zagłębieniu pośrodku pustyni, gdzie żar dnia nie pozwala na żaden kontakt między ludźmi, wznosi między nimi kraty z niewidzialnych płomieni i wrzących kryształów, a chłód nocy zamraża nagle w muszlach z soli tych nocnych mieszkańców suchej ławicy lodowej, czarnych Eskimosów drżących teraz z zimna w sześciennych igloo. Czarnych, tak, gdyż są ubrani w czarne szaty, a sól, która wżera się nawet w paznokcie, którą żuje się gorzko w polarnym śnie nocy, sól, którą pije się w wodzie pochodzącej z jedyne go źródła w lśniącym wgłębieniu, pozostawia niekiedy na ich ciemnych sukniach ślady podobne do śladów ślimaków po deszczu.

Deszczu, o Panie, niech choć raz prawdziwy deszcz, wielki, ciężki deszcz spadnie z twojego nieba! Wtedy wreszcie straszne miasto, podgryzane stopniowo, rozpadnie się z wolna, na zawsze, i, rozpuszczone w lepkim strumieniu, uniesie ku piaskom okrutnych mieszkańców. Deszczu raz tylko, Panie! Ale jakież tam pan, to oni są panowie! Panowie pustych domów, czarnych niewolników, którzy umierają dla nich w kopalniach, a każda odcięta sztabka soli to cena człowieka w krajach Południa, idą bez słowa w swych żalobnych woalach białymi ulicami z minerału, a gdy nadejdzie noc i całe miasto wygląda jak mleczna zjawia, schyleni wchodzą w cień domów, gdzie ściany z soli połyskują słabo. Śpią snem bez ciężaru i ledwo się obudzą, rozkazują, biją, mówią, że są jednym ludem, że ich bóg jest prawdziwy, że trzeba go słuchać. To moi panowie, nie znają litości, a ponieważ są panami, chcą być sami, rządzić sami, skoro sami mieli dość zuchwalstwa, by wybudować z soli i piasków zimne miasto upalne. A ja...

Jaka papka, kiedy żar rośnie, pocę się, oni nie pocą się nigdy, teraz cień także się rozgrzewa, czuję słońce na kamieniu nade mną, bije, bije jak młot we wszystkie kamienie i to jest muzyka, szeroka muzyka południa, drganie powietrza i kamieni idące przez setki kilometrów ra jak niegdyś słyszę ciszę. Tak, ta sama cisza przyjęła mnie przed laty, kiedy strażnicy prowadzili mnie do nich w słońcu, na środek placu, gdzie koncentrycznie położone tarasy wznosiły się ku pokrywie nieba z twardego błękitu, spoczywającej na brzegach misy. Byłem tam, rzucili mnie na kolana w zagłębieniu białej tarczy, szpady soli i ognia wychodzące ze wszystkich murów wydrążyły mi oczy, blady ze zmęczenia, z uchem krwawiącym od ciosu, który zadał mi przewodnik, a oni, wielcy, czarni, patrzyli na mnie bez słowa. Było południe. Pod żelaznymi uderzeniami słońca niebo, blaszana płyta rozgrzana do białości, dźwięczało długo, to była ta sama cisza, oni patrzyli na mnie, czas mijał, nie przestawali na mnie patrzeć, a ja nie mogłem znieść ich spojrzeń, dyszałem coraz mocniej, zapłakałem w końcu i nagle oni odwrócili się do mnie plecami w milczeniu i odeszli wszyscy razem w tym samym kierunku. Klęcząc, widziałem tylko ich nogi w czerwono-czarnych sandałach, gdy szli, unosiły się długie ciemne szaty, końce palców mieli wyprostowane, obcas lekko uderzał o ziemię i kiedy plac był pusty, zaciągnięto mnie do domu bożka.

Przykucnąwszy jak dziś pod osłoną skały, gdy ogień nad moją głową przesywa na wylot kamień, pozostałem przez wiele dni w cieniu tego domu, nieco wyższego od innych, otoczonego murem z soli, ale bez okna, pełnego połyskującej nocy. Przez wiele dni, i dano mi miskę słonawej wody i trochę ziarna, które rzucano mi, jak rzuca się kurom, ja je zbierałem. W ciągu dnia drzwi były zamknięte, a jednak cień stawał się lżejszy, jak gdyby niepokonane słońce potrafiło przebić warstwy soli. Żadnej lampy, ale idąc po omacku wzdłuż ścian, dotykałem zdobiących je girland z suchych palm i małych, grubo ciosanych drzwi w głębi, których zasuwkę rozpoznałem końcami palców. Przez wiele dni, długo potem, nie umiałem zliczyć dni i godzin, ale rzucono mi garść ziarna ze dwanaście razy i wygrzebałem dołek na nieczystości, który nakrywałem na próżno, zapach idący z nory wciąż unosił się w powietrzu, długo potem, tak, drzwi otwarły się szeroko i oni weszli.

Jeden z nich podszedł do mnie, siedziałem skulony w kącie. Czuję na policzku ogień soli, wdychałem zapach zakurzonych palm, patrzyłem, jak idzie. Zatrzymał się w odległości metra ode mnie, patrzył na mnie w milczeniu, skinął, i wstałem, patrzył na mnie oczami z metalu, które błyszczały bez wyrazu w brązowej, końskiej twarzy, potem podniósł rękę. Wciąż niewzruszony chwycił mnie za dolną wargę, którą skręcał powoli, aż oddał z niej skórę i nie rozluźniając uścisku palców, obrócił mnie dokoła, zmusił do cofnięcia się na środek pokoju, ciągnął mnie za wargę, aż upadłem na kolana, oszalały, z krwawiącymi ustami, potem odwrócił się i podszedł do innych, którzy stali rzędem wzdłuż ścian. Patrzyli na mnie, jak jęczę w niezmaconym i strasznym upale dnia wchodzącym przez otwarte szeroko drzwi i w tym świetle zjawił się czarownik o włosach z rafii, z torsem okrytym pancerzem z pereł, z nagimi nogami pod spódniczką ze słomy, w masce z trzciny i drutu, w której wycięte były dwa kwadratowe otwory dla oczu. Za nim szli muzykanci i kobiety w ciężkich pstrokatych sukniach, całkowicie osłaniających ich kształty. Tańczyli przed drzwiami w głębi, ale był to prymitywny, zaledwie zrytmizowany taniec, poruszali się, tylko tyle, potem czarownik otworzył małe drzwi za mną, panowie stali nieruchomo, patrzyli na mnie, odwróciłem się i zobaczyłem bożka, jego podwójną głowę w kształcie topora, jego nos z żelaza skręconego jak wąż.

Zaniesiono mnie do niego, do stóp cokołu, dano mi do wypicia czarnej wody, gorzkiej, gorzkiej, i natychmiast głowa zaczęła mi płonąć, śmiałem się, oto zniewaga, jestem znieważony. Rozebrali mnie, ogolili głowę i ciało, umyli oliwą, bili twarz sznurami umaczanymi w wodzie z solą, a ja śmiałem się i odwracałem głowę, ale za każdym razem dwie kobiety chwyciły mnie za uszy i podstawiły moją twarz pod ciosy czarownika, widziałem tylko jego kwadratowe oczy, śmiałem się wciąż, okryty krwią. Przeszli, nikt nie mówił prócz mnie, miałem już papkę w głowie, potem podnieśli mnie i zmusili, żebym spojrzał na bożka, nie śmiałem się już. Wiedziałem, że należę teraz do niego, że mam mu służyć i wielbić go, nie, nie śmiałem się, dławił mnie strach i ból. I tam, w tym białym domu, wśród ścian, które słońce paliło od zewnątrz, z napięciem na twarzy, gdy pamięć była już bezsilna, tak, próbowałem modlić się do bożka, był tylko on i nawet jego straszna twarz była mniej straszna od reszty świata. Wówczas związali mi nogi w kostkach sznurem, ale tak, żebym mógł chodzić, i znowu tańczyli, tym razem przed bożkiem, a panowie wyszli jeden za drugim.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, muzyka zabrzmiała znowu, czarownik zapalił ogień z kory, wokół którego przytupywał, jego wielka sylwetka łamała się w kątach białych ścian, drżała na płaskich powierzchniach, wypełniała wnętrze tańczącymi cieniami. Nakreślił prostokąt w kącie, dokąd mnie zaciągnęły kobiety, czułem ich suche i delikatne ręce, postawiły obok mnie czarkę z wodą, nasypały trochę ziarna i wskazały mi bożka, zrozumiałem, że mam nie spuszczać z niego oczu. Wówczas czarownik wezwał je do ognia, jedną po drugiej, bił niektóre, one jęczały, padły na twarz przed bożkiem, bogiem moim, zaś czarownik tańczył jeszcze, potem wyprowadził wszystkie kobiety, prócz jednej, młodziutkiej, siedzącej w kucki obok muzykantów, której nie bił jeszcze. Trzymał ją za warkocz, okręcał nim coraz bardziej rękę, ona przechyliła się do tyłu, oczy wyszły jej z orbit, aż wreszcie upadła na plecy. Czarownik, puszczając ją, krzyknął, muzykanci odwrócili się do ściany, pod maską o kwadratowych oczach krzyk rósł do ostatecznych granic, kobieta tarzała się po ziemi w ataku i wreszcie na czworakach, z głową osłoniętą złączonymi rękami, krzyknęła także, ale głucho, i wtedy czarownik, nie przestając wyć i patrzeć na bożka, wziął ją prędko, ze złością, jej twarzy zagrzebanej w ciężkich fałdach sukni nie było teraz widać. A ja, w mojej samotności, obłąkany, czy nie krzyczałem także, tak, wyłem z przerażenia do bożka, aż kopnięcie nogą rzuciło mnie pod ścianę, i gryzłem sól, jak dziś gryzę kamień ustami bez języka, czekając na tego, którego mam zabić.

Teraz słońce przebiegło już połowę nieba. Poprzez szczeliny w skale widzę dziurę, jaką wyryło w przegrzanym metalu nieba, usta tak samo gadatliwe jak moje bez przerwy wymiotują rzeki płomieni na bezbarwną pustynię. Nic na drodze przede mną, nie widać kurzu na horyzoncie, za mną oni, pewno mnie szukają, nie, nie jeszcze, dopiero pod wieczór otwierali drzwi i mogłem wyjść trochę, przez cały dzień sprzątałem dom bożka, składałem nowe ofiary, a wieczorem rozpoczynał się obrzęd, bili mnie czasem, innym razem nie, ale zawsze służyłem bożkowi, bożkowi, którego obraz mam wyryty żelazem w pamięci, teraz jest to obraz mojej nadziei. Żaden bóg nie posiadał mnie i nie ujarzmił tak bardzo, wszystkie moje dni i noce były jemu poświęcone, jemu zawdzięczałem cierpienie i brak cierpienia, a nawet pragnienie, tak, ponieważ niemal co dzień byłem obecny przy tym akcie nieosobistym i pełnym złości, który słyszałem, nie widząc, teraz bowiem musiałem patrzeć na ścianę pod groźbą chłosty. Ale z twarzą przyklejoną do soli, osaczony przez zwierzęce cienie, które poruszały się na ścianie, słuchałem długiego krzyku, czułem suchość w gardle, palące pragnienie bez płci ścisnęło mi skronie i brzuch. Tak dni następowały po dniach, ledwo odróżniałem jedno od drugich, jak gdyby roztopiały się w palącym żarze i w utajonym blasku ścian z soli, czas to był już tylko bezkształtny plusk, z którego regularnie wybuchał jedynie krzyk bólu lub posiadania, długi dzień bez wieku we władzy bożka, jak mój dom ze skał jest we władzy dzikiego słońca, i teraz tak samo jak wtedy płacząc z nieszczęścia i pragnienia, zła nadzieja mnie pali, chcę zdradzić, liżę lufę karabinu i jego duszę wewnątrz, jego duszę, tylko karabiny mają duszę, o tak! w dniu, kiedy ucięto mi język, nauczyłem się wielbić nieśmiertelną duszę nienawiści!

Jaka papka, jakie szaleństwo, ra ra, pijany z upału i wściekłości leżę rozpostarty, wyciągnięty na moim karabinie. Kto tu dyszy? Nie mogę znieść tego żaru, który nigdy się nie skończy, tego oczekiwania, muszę go zabić. Ani ptaka, ani źdźbła trawy, kamień, suche pragnienie, cisza, ich krzyki, ten język mówiący we mnie i, od kiedy mnie okaleczyli, długi, płaski i pusty ból, któremu odmówiono nawet wody nocy, nocy, o jakiej śniłem zamknięty z bogiem w mojej norze z soli. Tylko noc i jej chłodne gwiazdy, jej ciemne fontanny, tylko noc mogła mnie uratować, uwolnić wreszcie od złych bogów ludzi, ale zawsze zamknięty, nie mogłem jej widzieć. Jeśli tamten spóźni się jeszcze, zobaczę przynajmniej, jak noc wzejdzie z pustyni i zagarnie niebo, zimna złota winnica zawisnie na ciemnym zenicie, będę mógł pić z niej, ile zechcę, będę mógł zwilżyć tę czarną dziurę, której nie odświeża żaden żywy i giętki mięsień i zapomnieć wreszcie o dniu, kiedy szaleństwo odebrało mi język.

Jak było gorąco, jak gorąco, sól się rozpuszczała, tak przynajmniej myślałem, powietrze wyżerało mi oczy, czarownik wszedł bez maski. Za nim szła nowa kobieta, niemal naga pod szarawym łachmanem, jej twarz pokryta tatuażem była maską bożka i wyrażała jedynie złe osłupienie bóstwa. Żył tylko jej szczupłe i płaskie ciało, które osunęło się do stóp boga, gdy czarownik otworzył drzwi nory. Potem czarownik wyszedł nie patrząc na mnie, żar rósł, nie ruszałem się, bożek spoglądał na mnie ponad tym nieruchomym ciałem, którego mięśnie drgały jednak lekko, twarz kobiety, twarz bóstwa nie zmieniła się, kiedy się zbliżyłem. Tylko jej oczy powiększyły się, gdy patrzyła na mnie, moje nogi dotykały jej nóg, żar był teraz, bóstwo nie mówiąc słowa patrzyło wciąż na mnie rozszerzonymi oczami, upadło na wznak, podciągnęło powoli nogi ku sobie i uniosło je, lekko rozsuwając kolana. Ale zaraz potem, ra czarownik mnie śledził, weszli wszyscy i oderwali mnie od kobiety, bili straszliwie tam gdzie grzech, grzech jaki grzech, śmiałem się, gdzie jest grzech, gdzie cnota, przyparli mnie do ściany, stalowa ręka ścisnęła mi szczęki, inna otwarła mi usta, wyciągnęła język, aż zaczął krwawić, czy to ja wyłem tym zwierzęcym krzykiem, na języku tnąca i chłodna pieszczota, tak, chłodna wreszcie. Kiedy odzyskałem przytomność, byłem sam w nocy, przyklejony do ściany, pokryty zakrzepłą krwią, knebel z suchych ziół o dziwnym zapachu wypełniał mi usta, nie krwawiły już, ale były niezamieszkałe i w tej nieobecności żył tylko rozdzierający ból. Chciałem wstać, upadłem, szczęśliwy, beznadziejnie szczęśliwy, że umieram wreszcie, śmierć także jest chłodna i jej cień nie osłania żadnego boga.

Nie umarłem, młoda nienawiść wstała pewnego dnia razem ze mną, ruszyła ku drzwiom w głębi, otworzyła je, zamknęła za mną, nienawidziłem moich, bożek był tutaj i z dna, gdzie się znajdowałem, nie wzniosłem modlitwy do niego, zrobiłem lepiej, uwierzyłem w niego i przekreśliłem wszystko, w co wierzyłem dotąd. Chwała mu, on jest siłą i potęgą, można go zniszczyć, ale nie można nawrócić, patrzy ponad moją głowę pustymi i zardzewiałymi oczami. Chwała mu, on jest władcą i jedynym panem, którego bezspornym atrybutem jest złość, nie ma dobrych panów. I gdy całe moje ciało krzyczało z bólu, dzięki zniewagom po raz pierwszy zdałem się na jego wolę, uznałem jego złośliwy porządek, uwielbiłem w nim złą zasadę świata. Więzień jego królestwa, jałowego miasta wyrzeźbionego w górze soli, odciętego od natury, pozbawionego przelotnej i rzadkiej roślinności pustyni, wolnego od tych przypadków czy czułości, jakie znają nawet słońce i piaski – obłok, gwałtowny i krótki deszcz – więzień miasta porządku, gdzie kąty są proste, pokoje kwadratowe i sztywno wyprostowani ludzie, stałem się dobrowolnie jego storturowanym i pełnym nienawiści obywatelem, wyparłem się tej długiej historii, której mnie nauczono. Oszukano mnie, tylko panowanie złości jest bez skazy, oszukano mnie, prawda jest kwadratowa, ciężka, gęsta, nie znosi odcieni, dobro jest marzeniem, projektem wciąż odkładanym, któremu towarzyszy wyczerpujący wysiłek, granicą, której nie osiąga się nigdy, jego panowanie jest niemożliwe. Tylko zło może dojść do ostatecznych granic i rządzić niepodzielnie, jemu trzeba służyć, żeby utwierdzić jego widzialne królestwo, potem się zobaczy, potem, co to znaczy potem, tylko zło jest obecne, precz z Europą, z rozsądkiem, z honorem i krzyżem. Tak, musiałem nawrócić się na religię moich panów, tak tak, byłem niewolnikiem, ale jeśli ja także jestem zły, nie jestem już niewolnikiem, choć mam spętane nogi i nieme usta. O, ten żar doprowadza mnie do szaleństwa, pustynia krzyczy cała w świetle nie do zniesienia, wypieram się tamtego, Pana łagodności, samo jego imię budzi we mnie bunt, znam go bowiem teraz. Marzył i chciał kłamać, ucięto mu język, żeby jego słowo nie oszukiwało już świata, przebito go gwoździami, głowę także, tę biedną głowę, jak moja teraz, co za papka, jaki jestem zmęczony, a ziemia nie zadrżała, wiem na pewno, nie zabili sprawiedliwego, nie chcę w to wierzyć, nie ma sprawiedliwych, są tylko źli panowie, którzy ustanowili rządy nieubłaganej prawdy. Tak, tylko bożek ma władzę, on jest jedynym bogiem tego świata, przykazaniem jego jest nienawiść, źródło wszelkiego życia, świeża woda, świeża jak mięta, która mrozi usta i pali żołądek.

Zmieniłem się wówczas, oni to zrozumieli, całowałem ich ręce, gdy ich spotykałem, należałem do nich, nie przestawałem ich podziwiać, ufałem im, miałem nadzieję, że okaleczą moich, tak jak mnie okaleczyli. I kiedy dowiedziałem się, że przyjedzie misjonarz, zrozumiałem, co mam zrobić. Ten dzień podobny do innych, ten sam oślepiający dzień, który ciągnął się od tak dawna! Późnym popołudniem ukazał się strażnik, biegł górnym skrajem misy, w kilka minut potem zaciągnięto mnie do domu bożka i zamknięto drzwi. Jeden z nich trzymał mnie na ziemi, w cieniu, jego szabla w kształcie krzyża zawisała nade mną, cisza trwała długo, aż nieznane dźwięki napełniły spokojne zazwyczaj miasto, głosy, których nie mogłem rozpoznać, mówiły bowiem moim językiem, ale ledwo zabrzmiały, ostrze znalazło się na wysokości moich oczu, mój strażnik patrzył na mnie w milczeniu. Dwa głosy przybliżyły się, słyszę je jeszcze, jeden pytał, dlaczego ten dom jest strzeżony, czy trzeba wyważyć drzwi, panie poruczniku, drugi powiedział krótko: «Nie», po chwili dodał, że zawarto układ, miasto zgadza się na garnizon z dwudziestu ludzi, pod warunkiem że rozlokują się za murem i uszanują tutejsze zwyczaje. Żołnierz roześmiał się, mamy ich, ale oficer nie był pewien, w każdym razie po raz pierwszy zgodzili się przyjąć kogoś, kto będzie leczył dzieci, to będzie ksiądz, potem pomyśli się o terytorium. Tamten powiedział, że jeśli żołnierzy tu nie będzie, oni obetną księdzu to, co ma na myśli: «O nie – odparł oficer – ojciec Beffort przyjedzie przed garnizonem, będzie tu za dwa dni». Nie słyszałem już nic więcej, leżałem nieruchomo pod ostrzem szabli, czułem ból, koło z igieł i noży obracało się we mnie. Szaleni, szaleni, pozwalają wejść do miasta, naruszyć swą niezwykłą potęgę, tknąć prawdziwego boga, a tamten przyjedzie i jemu nie utną języka, będzie popisywać się swoją bezczelną dobrocią, nic nie płacąc, nie znosząc zniewag. Panowanie zła zostanie opóźnione, znów będą wątpliwości, znów czas stracony na marzenia o dobru, które jest niemożliwe, znów wyczerpujące i jałowe wysiłki zamiast tego, by przyspieszyć nadejście jedyne królestwa, patrzyłem na grożące mi ostrze, o potęgę, która sama rządzi światem! O potęgę, dźwięki oddalały się powoli, drzwi wreszcie otwarto, zdemaskowany, gorzki, zostałem sam z bożkiem i przysiągłem mu, że uratuję moją nową wiarę, moich prawdziwych panów, mego boga despotę, że zdradzę, choćby przyszło mi drogo zapłacić.

Ra, żar zelżał trochę, kamień nie drży, mogę wyjść z mojej dziury i patrzeć, jak pustynia staje się ugrowa, wkrótce przybierze odcień różowawoliliowy. Tej nocy czekałem, aż zasną, wyważyłem zamek u drzwi, wyszedłem tym samym krokiem, co zawsze, krokiem odmierzanym przez sznur, znam ulice, wiedziałem, skąd wziąć stary karabin, jakie wyjście nie jest strzeżone, i przyszedłem tu, kiedy noc blednie wokół garstki gwiazd, a pustynia lekko ciemnieje. A teraz wydaje mi się, że całe dni już minęły, odkąd przyczałem się wśród tych skał. Szybko, szybko, o, niech zjawi się szybko! Za chwilę zaczną mnie szukać, przebiegną drogi we wszystkich kierunkach, nie będą wiedzieli, że poszedłem dla nich, żeby im lepiej służyć, nogi mi osłabły jestem pijany z głodu i nienawiści. O, o tam, ra ra u końca drogi wyrosły dwa wielbłądy, biegną jednakim krokiem, podwaja je krótki cień, ich ruchy są żywe i skupione jak zawsze. Oto są, są wreszcie!

Karabin, szybko karabin, ładuję go szybko. O bożku, boże mój stamtąd, bądź potęga twoja, niech zniewaga będzie pomnożona, niech nienawiść rządzi bez przebaczenia światem skazańców, niechaj zły zawsze będzie panem, niech nadejdzie wreszcie królestwo czarnych tyranów, ujarzmiających i władających bez litości w jedynym mieście z soli i żelaza! A teraz ra ra ognia do litości, ognia do niemocy i jej miłosierdzia, ognia do wszystkiego, co opóźnia nadejście zła, dwa razy ognia, i oto przewracają się, upadają, wielbłądy uciekają w stronę horyzontu, gdzie gejzer czarnych ptaków wytrysnął w niezmiennym niebie. Śmieję się, śmieję, tamten wije się w swej nienawistnej sukni, unosi nieco głowę, widzi mnie, mnie, jego spętanego i wszechmocnego pana, dlaczego uśmiecha się, zmiażdżę ten uśmiech! Dobrze jest słyszeć, jak kolba uderza w twarz dobroci, dziś, dziś wreszcie wszystko się dokonało i wszędzie na pustyni, nawet daleko stąd, szakale węszą nieobecny zapach, potem ruszają cierpliwym truchtem na czekającą ich ucztę z padliny. Zwycięstwo! Wyciągam ręce ku niebu, które łagodnieje, po przeciwnej stronie można odgadnąć fioletowy cień, o noce Europy, ojczyzno, dzieciństwo, dlaczego muszę płakać w chwili triumfu?

Poruszył się, nie, odgłos idzie skądinąd, tam, z drugiej strony, to są oni, moi panowie, zlatują jak stado ciemnych ptaków, spadają na mnie, chwytają, ach! tak, bijcie mnie, boją się, że ujrzą swoje miasto wypatroszone i wyjące, boją się zemsty żołnierzy, których przywołałem do świętego miasta, tego właśnie było trzeba. Brońcie się teraz, bijcie, bijcie wpierv mnie, wasza jest prawda! O moi panowie, potem zwyciężą żołnierzy, zwyciężą słowo i miłość, przejdą przez pustynie, przejdą przez morze, zasłonią światło Europy swoimi czarnymi woalami, bijcie w brzuch, tak, bijcie w oczy, rozsieją swoją sól po kontynencie, wszelka roślinność, wszelka młodość zgaśnie, pod okrutnym słońcem prawdziwej wiary nieme tłumy o spętanych nogach będą szły u mego boku po pustyni świata, nie będę już sam. Ach, ból, ból, jaki mi zadają, ich wściekłość, tak trzeba, rozćwiartowali mnie na tym wojennym siodle, litości, śmieję się, kocham ten cios, który przygwaźdza mnie do krzyża.

Jaka cicha jest pustynia! Już noc i jestem sam, chcę pić. Znowu czekam, gdzie jest miasto, ten daleki hałas i żołnierze może zwycięscy, nie, nie trzeba, nawet jeśli żołnierze zwyciężyli, nie będą dość źli, nie będą umieli panować, powiedzą raz jeszcze, że trzeba stać się lepszym, i znów miliony ludzi pomiędzy dobrem i złem, rozdarci, osłupiali, o bożku, dlaczegoś mnie opuścił? Wszystko się skończyło, chcę pić, ciało mnie pali, ciemniejsza jeszcze noc napełnia mi oczy.

To długi, długi sen, budzę się, ale nie, umrę, wstaje świt, pierwsze światło dnia dla żywych, a dla mnie nieubłagane słońce, muchy. Kto mówi, nikt, niebo się nie otwiera, nie, nie, Bóg nie mówi na pustyni, skąd jednak ten głos, który powiada: «Jeśli zgodzisz się umrzeć dla nienawiści i potęgi, kto nam przebaczy?». Czy to inny język mówi we mnie, czy wciąż tamten, u moich stóp, co nie chce umrzeć i powtarza: «Odwagi, odwagi, odwagi»? Ach! Jeśli omyliłem się znowu! Ludzie, dawni bracia moi, jedyna pomocy, o samotności, nie opuszczajcie mnie! Tu, tu, kim jesteś, rozdarty, z krwawiącymi ustami, to ty, czarowniku, żołnierze cię zwyciężyli, sól płonie tam, to ty, mój ukochany panie! Porzuć tę twarz nienawiści, bądź dobry teraz, zbłądziliśmy, zaczniemy na nowo, odbudujemy miasto miłosierdzia, chcę wrócić do domu. Tak, pomóż mi, tak, podaj rękę, daj...”.

Garść soli zamknęła usta gadatliwego niewolnika.

Niemi

Była zima, ale nad przebudzonym już miastem wstawał promienny dzień. U końca portowej grobli morze zlewało się z niebem w jednakim blasku. Yvars nie widział jednak ni morza, ni nieba. Jechał ciężko bulwarami górującymi nad portem. Jego kaleka noga spoczywała sztywno na nieruchomym pedale roweru, druga pokonywała z trudem opór jezdni, mokrej jeszcze od nocnej wilgoci. Jechał, nie podnosząc głowy, drobny na swym siodełku, wymijając szyny dawnego tramwaju; skręcał gwałtownym ruchem kierownicy, żeby przepuścić wyprzedzające go samochody, i od czasu do czasu odsuwał łokciem przewieszoną przez ramię torbę, do której Fernande włożyła śniadanie. Myślał wówczas z goryczą o zawartości torby. Pomiędzy dwiema kromkami chleba z grubej mąki, zamiast omletu po hiszpańsku czy befsztyka na oliwie, był tylko ser.

Droga do warsztatu nigdy nie wydawała mu się tak długa. Starzał się, co prawda. Kiedy człowiek ma czterdzieści lat, nawet jeśli jest suchy jak winna latorośl, mięśnie nie rozgrzewają się tak szybko. Gdy czytał czasem sprawozdania sportowe, w których trzydziestoletniego atletę nazywano weteranem, wzruszał ramionami:

– Jeśli to jest weteran – mówił do Fernande – to ja jestem trup.

A jednak wiedział, że dziennikarz nie całkiem się mylił. W wieku lat trzydziestu oddech już słabnie niedostrzegalnie. Człowiek czterdziestoletni nie jest trupem, nie, ale przygotowuje się, żeby nim być, trochę zawczasu. Czy nie dlatego od dawna już nie patrzył na morze, gdy jechał do warsztatu bednarskiego na drugim końcu miasta? Jako dwudziestoletni chłopak nigdy nie miał dość widoku morza. Morze to była radosna obietnica plaży z końcem tygodnia. Mimo że kulał, a może właśnie dlatego, zawsze lubił pływanie. Potem minęły lata, ożenił się z Fernande, urodził się chłopiec; żeby wyżyć, pracował w godzinach nadliczbowych w sobotę, w niedzielę dorabiał prywatnie. Powoli odzwyczaił się od tych porywających dni, które go krzepiły. Głęboka i przezroczysta woda, mocne słońce, dziewczyny, życie ciała, nie było innego szczęścia w jego kraju. A to szczęście mijało z młodością. Yvars nadal kochał morze, ale tylko u schyłku dnia, kiedy wody zatoki trochę ciemnieją. Pora była łagodna; siadał po pracy na tarasie domu, rad z czystej koszuli, którą Fernande umiała tak dobrze wyprasować, i z kieliszka anyżówki powleczonego lekką mgłą. Wieczór zapadał, niebo było pełne słodczy, sąsiedzi rozmawiający z Yvarsem zniżali nagle głosy. Nie wiedział wówczas, czy jest szczęśliwy, czy chce mu się płakać. W każdym razie był z sobą w zgodzie i nie pozostawało mu nic innego, jak tylko czekać spokojnie, choć nie bardzo wiedział na co.

Natomiast rano, gdy jechał do pracy, nie lubił patrzeć na morze, zawsze wiernie stawiające się na spotkanie; zobaczy je dopiero wieczorem. Tego dnia jechał z opuszczoną głową, ciężiej niż zazwyczaj i z ciężkim sercem. Kiedy poprzedniego dnia wrócił z zebrania i wieczorem oświadczył, że wracają do pracy, Fernande powiedziała radośnie:

– Więc pryncypał zgodził się na podwyżkę?

Pryncypał nie zgodził się bynajmniej na podwyżkę, przegrali strajk. Trzeba przyznać, że nie postępowali zręcznie. Zastrajkowali z wściekłości i związek zawodowy miał rację, że słabo ich poparł. Piętnastu robotników zresztą, nie było o czym mówić; związek brał pod uwagę inne warsztaty bednarskie, które nie poszły za nimi. W końcu nie można było mieć im tego za złe. Z warsztatami bednarskimi było krucho, statki i ciężarówka-cysterny stanowiły zbyt wielką konkurencję. Coraz mniej zamawiano baryłek i beczek, naprawiano przede wszystkim wielkie kadzie zrobione dawniej. Właściciele wiedzieli, co prawda, że ich interesy źle idą, ale mimo wszystko chcieli zabezpieczyć sobie zyski; niepodnoszenie płac, choć ceny rosły, wydawało im się rzeczą najprostsza. Co mają robić bednarze, kiedy bednarstwo zanika? Człowiek nie zmienia fachu, jeśli się go już kiedyś nauczył, ten fach zaś był trudny, wymagał długiego terminowania. Dobry bednarz, taki, co umie dopasować zgięte klepki, ścisnąć je nad ogniem i zamknąć żelazną obręczą hermetycznie niemal, bez użycia rafii czy pakuł, trafiał się rzadko. Yvars wiedział o tym i był z tego dumny. Zmienić zawód to głupstwo, ale wyrzec się swej wiedzy, swoich umiejętności, nie jest rzeczą łatwą. Piękny fach bez zastosowania, człowiek był przyparty do muru, trzeba było się poddać. Ale rezygnacja też nie jest łatwa. Trudno było trzymać język za zębami, nie wyklócać się i co dzień, z rosnącym coraz bardziej zmęczeniem, wyruszać tą samą drogą, żeby z końcem tygodnia otrzymać tylko to, co raczą ci dać i co wciąż mniej wystarcza.

Wówczas wpadli w gniew. Kilku się wahało, ale po pierwszych rozmowach z pryncypałem wściekłość ogarnęła ich także. Powiedział bowiem sucho, że wóz albo przewóz. Tak człowiek nie mówi.

– Cóż on sobie wyobraża! – zawołał Esposito – że się przestraszymy?

Pryncypał był zresztą przyzwoity facet. Odziedziczył warsztat po ojcu, wyrósł w nim, od lat znał wszystkich robotników. Zapraszał ich czasem na zakąskę w warsztacie; smażyli wówczas sardynki albo kiskę na ogniu z wiórów, pili wino, był naprawdę bardzo miły. Na Nowy Rok ofiarowywał zawsze każdemu robotnikowi po pięć butelek wina, a często, kiedy któryś był chory albo z okazji jakiegoś wydarzenia, ślubu czy komunii, dawał w prezencie pieniądze. Kiedy urodziła mu się córka, częstował wszystkich cukierkami. Kilka razy zaprosił Yvarsa na polowanie do swej posiadłości na wybrzeżu. Lubił swoich robotników, to pewne, i przypominał często, że jego ojciec zaczął jako czeladnik. Ale nigdy nie bywał u nich i nie zdawał sobie sprawy. Myślał tylko o sobie, znał bowiem tylko siebie, a teraz wóz albo przewóz. Inaczej mówiąc, z kolei uparł się pryncypał. Ale on mógł sobie na to pozwolić.

W związku zawodowym postawili na swoim. Warsztat został zamknięty.

– Nie róbcie sobie kłopotu ze strajkowymi pikietami – powiedział pryncypał. – Gdy warsztat stoi, robie oszczędności.

Nieprawda, ale to nie załatwiało sprawy, skoro mówił im w żywe oczy, że daje im pracę z miłosierdzia. Esposito oszalał z wściekłości i powiedział mu, że nie jest człowiekiem. Pryncypał był krewki i trzeba było ich rozdzielić. Ale strajk odbił się na robotnikach. Dwadzieścia dni bez pracy, w domu smutne kobiety, kilku zniechęconych, i w końcu związek poradził im, żeby ustąpili pod warunkiem, że odbędzie się sąd rozjemczy i że odrobnią sobie czas strajku godzinami nadliczbowymi. Uchwalili, że wrócą do pracy. Oczywiście udawali zuchów, mówili, że to jeszcze nie koniec, że się jeszcze okaże. Ale tego ranka zmęczenie miało ciężar klęski, zamiast mięsa był ser, nie sposób już było się łudzić. Na próżno świeciło słońce, morze nic nie przyrzekało. Yvars naciskał jedyny pedał i z każdym obrotem kół zdawało mu się, że jest starszy. Gdy myślał o warsztacie, o kolegach, o pryncypale, którego zobaczy, coraz ciężiej robiło mu się na sercu. Fernande niepokoiła się.

– Co mu powiecie?

– Nic. – Yvars wsiadł na rower i potrząsnął głową. Zaciskał zęby, jego drobna, brązowa i pomarszczona twarz o cienkich rysach ścięła się. – Pracujemy. To wystarczy.

Teraz jechał z zaciśniętymi wciąż zębami, smutny i zimny gniew przysłał mu nawet niebo.

Porzucił bulwar i morze i wjechał w wilgotne ulice starej dzielnicy hiszpańskiej. U ich wylotu był teren, gdzie znajdowały się tylko remizy, składy żelastwa i garaże; tu był warsztat: hangar do połowy wysokości murowany, wyżej oszklony, aż do dachu z karbowanej blachy. Ten warsztat wychodził na podwórze, otoczone starymi dziedzińcami, dawny warsztat bednarski, gdzie już nie pracowano, odkąd przedsiębiorstwo się powiększyło. Teraz służył za skład zużytych maszyn i starych beczek. Za podwórzem, oddzielonym od niego ścieżką wyłożoną starymi dachówkami, zaczynał się ogród pryncypała; przy końcu ogrodu wznosił się dom. Dom był wielki i brzydki, ale przyjemny ze swoją dziką winną latoroślą i skąpo rosnącym wiciokrzewem, który oplatał zewnętrzne schody.

Yvars zobaczył od razu, że brama warsztatu jest zamknięta. Stała przed nią w milczeniu grupa robotników. Nie widział jeszcze bramy zamkniętej, odkąd tu przychodził do pracy. Pryncypał chciał podkreślić swoje zwycięstwo. Yvars skierował się na lewo, postawił rower pod okapem, który z tej strony stanowił przedłużenie hangaru, i podszedł ku drzwiom. Z daleka rozpoznał Esposito, chłopca na schwał z gęstym włosiem i o ciemnej skórze, który pracował obok niego, Marcou, delegata związkowego o twarzy tenora, Saida, jedynego Araba w warsztacie, potem wszystkich innych; patrzyli w milczeniu, jak idzie w ich stronę. Ale zanim do nich doszedł, odwrócili się nagle ku bramie warsztatu, która się uchyliła. We framudze ukazał się Ballester, kierownik warsztatu. Otwierał skrzydło ciężkiej bramy i, odwrócony teraz plecami do robotników, pchał je powoli po żelaznej szynie.

Ballester, który był najstarszy ze wszystkich, nie pochwalał strajku, ale umilkł od chwili, kiedy Esposito powiedział mu, że popiera interesy pryncypała. Teraz stał przy drzwiach, szeroki i krępy, w swoim granatowym swetrze, bez butów (prócz Saida on jeden tylko pracował boso) i patrzył na nich jak wchodzą, jeden za drugim, oczami tak jasnymi, że zdawały się bezbarwne w jego starej, ciemnej twarzy o smutnych ustach pod gęstym i spadającym wąsem. Milczeli, upokorzeni tym wejściem pokonanych, wściekli z powodu własnego milczenia, lecz w miarę jak trwało, coraz mniej zdolni je przerwać. Przechodzili, nie patrząc na Ballestera, wiedzieli, że wpuszczając ich, w ten sposób wypełnia rozkaz, a jego gorzka i zasmucona twarz zdradzała im jego myśli. Ale Yvars spojrział na niego. Ballester, który go bardzo lubił, pochylił głowę, nic nie mówiąc.

Teraz wszyscy znajdowali się w małej szatni, na prawo od wejścia: otwarte przegrody, oddzielone od siebie deskami z białego drewna, do których przyczepiono z każdej strony małą szafkę zamykaną na klucz; w ostatniej przegrodzie od wejścia, u zbiegu ścian hangaru, znajdował się prysznic, ściek odpływowy był wyżłobiony w podłodze z ubitej ziemi. Pośrodku hangaru, zależnie od miejsca pracy, widać było beczki na wino, gotowe już, ale luźno opasane obręczami, które trzeba było spoić w ogniu, grube belki o podłużnych otworach, okrągłe drewniane dna czekające na dopasowanie oraz szerniałe ogniska. Wzdłuż ścian, na lewo od wejścia, stały warsztaty. Przed nimi stosy klepek do heblowania. Przy ścianie z prawej strony, niedaleko od szatni, dwie wielkie piły mechaniczne, dobrze naoliwione, mocne i nieme, połyskiwały w milczeniu.

Hangar od dawna już był zbyt wielki dla garstki pracujących tu ludzi. Miało to swoje dobre strony latem, podczas wielkich upałów, było niedogodne w zimie. Ale dziś ta wielka przestrzeń, porzucona praca, beczki pozostawione w kątach, klepki spięte u dołu obręczą i rozchylające się w górze niby prymitywne kwiaty z drewna, pokryte trocinami belki, skrzynki z narzędziami i maszyny, wszystko nadawało warsztatowi wyraz opuszczenia. Patrzyli na warsztat, ubrani teraz w stare swetry, w sprane i połatane spodnie i wahali się. Ballester obserwował ich.

– A więc – powiedział – zaczynamy?

Jeden za drugim zajęli swoje miejsca w milczeniu. Ballester przechodził od stanowiska do stanowiska i przypominał krótko, co należy rozpocząć lub skończyć. Nikt nie odpowiadał. Wkrótce pierwszy młotek uderzył w klin z okutego drewna, wtłaczając obręcz na wybrzuszoną część beczki; hebel jęknął na sęku i rozległ się ogłuszający hałas karbowanych kling piły, puszczonej w ruch przez Esposita. Said na żądanie przynosił klepki albo rozpałał ogień z wiórów, na którym kładło się beczki, beczki nadymały się w swych gorsetach z kutej blachy. Kiedy nikt go nie potrzebował, mocnymi uderzeniami młotka nitował na warsztacie szerokie, zardzewiałe obręcze. Zapach palących się wiórów zaczął napełniać hangar. Yvars, który heblował i dopasowywał klepki, cięte przez Esposita, poczuł znajomy zapach i jego serce rozkurczyło się trochę. Wszyscy pracowali w milczeniu, ale ciepło i życie z wolna odradzały się w warsztacie. Przez wielkie szyby przenikało świeże światło. Dym błękitniał w złoconym powietrzu; Yvars słyszał nawet bliskie brzęczenie owada.

W tej chwili otworzyły się drzwi w głębi, wychodzące na dawny warsztat, i Lassalle, pryncypał, stanął w progu. Był to szczupły i ciemny mężczyzna, liczący sobie niewiele ponad lat trzydzieści. Ubrany w garnitur z piaskowej gabardyny i białą, szeroko otwartą koszulę, wyglądał jak człowiek, któremu własne ciało nie sprawia kłopotu. Mimo kościstej, jakby wyciętej ostrzem noża twarzy, wzbudzał na ogół sympatię. Jak większość ludzi, którzy uprawiając sporty, zdobyli swobodę obejścia. Mimo to wydawał się trochę zakłopotany, gdy przestępował próg. Jego „dzień dobry” było mniej dźwięczne niż zazwyczaj; w każdym razie nikt mu nie odpowiedział. Dźwięk młotków ucichł na chwilę, rozchwiało się nieco, potem rozległ się na nowo. Lassalle zrobił kilka niepewnych kroków, potem zbliżył się do małego Valery, który pracował z nimi dopiero od roku. Valery był o kilka kroków od Yvarsa, obok piły mechanicznej; dopasowywał dno do beczki na wino i pryncypał przyglądał mu się przez chwilę. Valery pracował dalej bez słowa.

– Co tam, synu, wszystko w porządku? – powiedział Lassalle.

Młody człowiek stracił nagle pewność ruchów. Rzucił spojrzenie na Esposita, który tuż obok ładował wielkimi łapami stos klepek, żeby zanieść je Yvarsowi. Esposito także patrzył na niego, ale nie przerywał pracy, i Valery wsadził nos w swoją beczkę, nie odpowiadając pryncypałowi. Lassalle, nieco zaskoczony, stał chwilę przed nim, potem wzruszył ramionami i podszedł do Marcou, który, siedząc okrakiem na belce, powoli i precyzyjnie robił otwór w dnie.

– Dzień dobry, Marcou – powiedział Lassalle bardziej sucho. Marcou milczał, uważając tylko, żeby zheblować drewno jak najcieniej.

– Co się z wami dzieje – rzekł Lassalle głośno, zwracając się tym razem do wszystkich robotników. – Nie porozumieliśmy się, zgoda. Ale mimo to musimy pracować razem. Więc na co to wszystko?

Marcou wstał, odsunął dno, sprawdził dłonią okrągły otwór, zmrużył oczy o omdlewającym spojrzeniu z wyrazem wielkiego zadowolenia i wciąż milcząc, skierował się ku innemu robotnikowi, który spajał beczkę. W całym warsztacie słychać było tylko stuk młotków i hałas mechanicznej piły.

– Dobrze – rzekł Lassalle – jak wam to przejdzie, dacie mi znać przez Ballestera.

I wyszedł spokojnym krokiem.

W chwilę potem zabrzmiał dwukrotnie dzwonek, przebijając się przez zgiełk w warsztacie. Ballester, który usiadł, żeby skrócić papierosa, wstał ciężko i ruszył ku małym drzwiom w głębi. Po jego wyjściu młotki uderzały mniej mocno, jeden z robotników przerwał nawet pracę, ale Ballester wrócił. W drzwiach powiedział tylko:

– Marcou i Yvars, pryncypał was wzywa.

Yvars w pierwszym odruchu chciał umyć ręce, ale Marcou wziął go za ramię, i Yvars poszedł za nim, kulejąc.

Na podwórzu światło było tak świeże, tak płynne, że Yvars poczuł je na twarzy i nagich ramionach. Weszli na górę zewnętrznymi schodami, obrośniętymi wiciokrzewem, który kwitł już tu i ówdzie. Kiedy znaleźli się w korytarzu zawieszonym dyplomami, usłyszeli płacz dziecka i głos Lassalle’a:

– Połóż ją po obiedzie. Jeśli jej to nie przejdzie, wezwiemy lekarza.

Za chwilę pryncypał ukazał się w korytarzu i wprowadził ich do małego, znanego im gabinetu, z meblami w stylu pseudoludowym, o ścianach ozdobionych trofeami sportowymi.

– Siadajcie – powiedział Lassalle, zajmując miejsce za biurkiem. Stali nadal. – Poprosiłem was, ponieważ wy, Marcou, jesteście delegatem, a ty, Yvars, moim najstarszym robotnikiem po Ballesterze. Nie chcę wracać do skończonych już dyskusji. Nie mogę, w żaden sposób nie mogę dać wam tego, co żądacie. Sprawa jest załatwiona, doszliśmy do wniosku, że trzeba wrócić do pracy. Widzę, że macie do mnie urazę, i przykro mi z tego powodu; mówię wam, co czuję. Chcę tylko dodać, że to, czego nie mogę zrobić dzisiaj, zrobię może jutro, kiedy interes będzie szedł lepiej. I nie czekając nawet, żebyście tego ode mnie zażądali. Na razie spróbujmy pracować w zgodzie.

Zamilkł, zdawało się, że się zastanawia, potem spojrzął na nich.

– A więc? – powiedział.

Marcou patrzył przez okno. Yvars zacisnął zęby; chciał mówić, ale nie mógł.

– Słuchajcie – rzekł Lassalle – wszyscyście się uparli. To wam przejdzie. Ale kiedy zaczniecie myśleć rozsądnie, nie zapomnijcie o tym, co wam powiedziałem. – Wstał, podszedł do Marcou i wyciągnął do niego rękę: – Serwus!

Marcou zbladł, twarz, ta jego twarz czarującego piosenkarza, stężała mu nagle i po sekundzie przybrała zły wyraz, potem odwrócił się gwałtownie na piętach i wyszedł. Lassalle, błądzący także, patrzył na Yvarsa, nie wyciągając do niego ręki.

– Idźcie do diabła! – krzyknął.

Kiedy wrócili do warsztatu, robotnicy jedli śniadanie. Ballester wyszedł, Marcou powiedział tylko: „Gadanie”, ruszył na swoje miejsce. Esposito przestał jeść chleb i zapytał, co odpowiedzieli; Yvars odparł, że nie odpowiedzieli nic.

Potem poszedł po swoją torbę i usiadł na belce, tam gdzie pracował. Zaczął jeść, gdy zobaczył obok Saida; leżał na wznak na kupie wiórów ze spojrzeniem błąkającym się po szybach, które zbłękitniały teraz, niebo było bowiem mniej świetliste. Zapytał go, czy już skończył śniadanie. Said powiedział mu, że zjadł swoje figi. Yvars przestał jeść. Niemiłe uczucie, które nie opuszczało go od rozmowy z Lassallem, znikło nagle, pozostało tylko miejsce na ciepło. Wstał, przełamał swój chleb, a kiedy Said odmówił, powiedział, że w przyszłym tygodniu wszystko pójdzie lepiej.

– Następnym razem ty mnie poczęstujesz – rzekł.

Said uśmiechnął się. Jadł teraz chleb Yvarsa, ale od niechcienia, jak człowiek, który nie jest głodny.

Esposito wziął stary garnek i rozpałił ogień z wiórów i drewna. Zagrzał w nim kawę, którą przyniósł w butelce. Powiedział, że tę kawę ofiarował dla warsztatu jego sklepikarz, kiedy dowiedział się o nieudanym strajku. Szklanka od musztardy przechodziła z rąk do rąk. Za każdym razem Esposito nalewał do niej osłodzonej już kawy. Said wypił ją z przyjemnością, widać było, że smakuje mu bardziej niż jedzenie. Esposito wypił resztę kawy z gorącego garnka, mlaskając i klnąc. W tej samej chwili wszedł Ballester i oznajmił, że wracają do pracy.

Gdy wstawali i składali papiery i naczynia do toreb, Ballester stanął pośrodku i powiedział nagle, że jest to ciężki cios dla wszystkich, i dla niego także, ale nie powód, żeby zachowywali się jak dzieci; dąsy nie prowadzą do niczego. Esposito z garnkiem w ręce odwrócił się w jego stronę, jego pospolita i długa twarz poczerwieniała nagle. Yvars wiedział, co Esposito powie i co wszyscy myśleli tak samo jak on, że się nie dąsają, że zamknięto im usta, że mieli do wyboru wóz albo przewóz, a gniew i bezsilność są czasem tak dojmujące, że nie można nawet krzyżeć. Są mężczyznami, ot i wszystko, i nie zaczną się uśmiechać i stroić min. Ale Esposito nic nie powiedział, jego twarz rozprężyła się wreszcie, uderzył lekko Ballestera po ramieniu, inni zaś wrócili do pracy. Znowu zadźwięczały młotki, wielki hangar wypełnił znajomy zgiełk, zapach wiórów i starych ubrań wilgotnych od potu. Wielka piła warczała i wbijała zęby w świeże drewno klepki, którą Esposito posuwał lekko naprzód. W miejscu gdzie wchodziły zęby, tryskały wilgotne trociny i niczym tarta bułka pokrywały wielkie owłosione ręce, trzymające mocno kawałek drewna z obu stron ryczącego ostrza. Kiedy klepka była już przecięta, słychać było tylko hałas motoru.

Yvars czuł teraz łamanie w plecach schylonych nad heblem. Zazwyczaj zmęczenie przychodziło później. Wszedł z wprawy podczas tych tygodni, kiedy nie pracował, to było jasne. Ale myślał również o wieku, który sprawia, że fizyczna praca staje się cięższa, jeśli nie jest to praca precyzyjna. To łamanie zapowiadało również starość. Gdy w grę wchodzi mięśnie, praca staje się w końcu przekleństwem, poprzedza tylko śmierć, i wieczorem, po wielkim wysiłku, sen podobny jest do śmierci. Chłopiec chce być nauczycielem, ma rację, ci, co wygłaszają mowy o pracy fizycznej, nie wiedzą, o czym mówią.

Kiedy Yvars wyprostował się, żeby zaczerpnąć oddechu i odegnać złe myśli, dzwonek zabrzmiał znowu. Był natarczywy i w tak szczególny sposób urywał się i powracał gwałtownie, że robotnicy przerwali pracę. Ballester słuchał zdumiony, potem zdecydował się i powoli ruszył ku drzwiom. Nie było go już od kilku sekund, kiedy dzwonienie ustało wreszcie. Wrócili do pracy. Znowu drzwi otworzyły się gwałtownie i Ballester pobiegł do szatni. Zjawił się w płóciennych trepach, wciągając po drodze kurtkę; w przejściu rzucił Yvarsowi:

– Dziewczynka miała atak. Idę po Germaina – i pobiegł do bramy wejściowej.

Doktor Germain opiekował się warsztatem; mieszkał na przedmieściu. Yvars powtórzył wiadomość bez komentarzy. Stali wokół niego i patrzyli na siebie z zakłopotaniem. Słychać było tylko motor idącej wciąż mechanicznej piły.

– Może to nic groźnego – powiedział któryś z nich.

Wrócili na miejsca, warsztat napełnił się znów hałasem, ale pracowali powoli, jakby na coś czekali.

Po kwadransie Ballester wrócił, powiesił kurtkę i nie mówiąc słowa, wyszedł małymi drzwiami. Światło ściemniało na szybach. W chwilę potem, w przerwie, kiedy piła nie wgryzała się w drewno, usłyszeli matowy sygnał karetki pogotowia; z początku odległy, przybliżał się, potem rozległ się tuż obok, wreszcie zamilkł. Zjawił się Ballester i wszyscy podeszli do niego. Esposito wyłączył motor. Ballester powiedział, że kiedy dziecko rozbierało się w swoim pokoju, upadło nagle, jakby skoszone.

– To ci dopiero! – powiedział Marcou.

Ballester potrząsnął głową i niepewnym ruchem wskazał warsztat, ale twarz miał zmienioną. Usłyszeli znów sygnał karetki pogotowia. Stali wszyscy w niemym teraz warsztacie, pod falą żółtego światła lejącego się z szyb, ich szorstkie ręce zwisały beużytecznie wzdłuż starych spodni okrytych pyłem drzewnym.

Popołudnie się wlokło. Yvars czuł tylko zmęczenie, serce miał wciąż ściśnięte. Chciałby mówić. Ale nie miał nic do powiedzenia i inni także. Na ich milczących twarzach można było wyczytać tylko smutek i jakiś upór. Czasem formowało się w nim słowo – nieszczęście, ale z trudem, i znikало natychmiast jak bańka mydlana, która rodzi się i pęka jednocześnie. Miał ochotę wrócić do domu, zobaczyć Fernandę, chłopca, a także taras. Właśnie Ballester ogłosił koniec pracy. Maszyny stanęły. Bez pośpiechu gasili ognie i składali narzędzia, potem wyszli kolejno do szatni. Said pozostał, miał posprzątać warsztat i skropić zakurzoną podłogę. Kiedy Yvars wszedł do szatni, ogromny i włochaty Esposito był już pod prysznicem. Odwrócił się do nich plecami, mydląc się z wielkim hałasem. Zazwyczaj pokpiwali sobie z jego wstydlivosti; ten wielki niedźwiedź ukrywał uparcie szlachetne części swego ciała. Ale nikt nie zwracał dziś na to uwagi. Esposito wyszedł tyłem i zawiązał na biodrach ręcznik niby przepaskę. Teraz przyszła kolej na innych i Marcou klepał się co sił po nagich bokach, kiedy usłyszano, że brama wolno przesuwana się po szynie. Wszedł Lassalle.

Był ubrany tak samo jak rano, tylko włosy miał w nieładzie. Zatrzymał się na progu, rzucił okiem na wielki i pusty warsztat, postąpił kilka kroków, stanął i spojrzał w stronę szatni. Esposito wciąż w przepasce odwrócił się w jego stronę. Nagi i zażenowany, kołysał się z nogi na nogę. Yvars pomyślał, że Marcou powinien coś powiedzieć. Ale Marcou był niewidoczny za deszczem lejącej się dokoła niego wody. Esposito chwycił koszulę i wciągnął ją szybko, gdy Lassalle powiedział: „Dobrej nocy” bezbarwnym trochę głosem i skierował się ku małym drzwiom. Yvars pomyślał, że trzeba go zawołać, ale drzwi już się zamknęły.

Yvars ubrał się, nie myjąc, powiedział także „dobrej nocy”, ale z całego serca, a oni odpowiedzieli mu równie ciepło. Wszedł szybko, wziął rower, wsiadł i poczuł znów ból w krzyżu. Jechał teraz przez zatłoczone miasto; dzień miał się ku końcowi. Jechał szybko, chciał znaleźć się w starym domu, na tarasie. Umyje się w pralni, zanim usiądzie, i spojrzy na morze, które było tuż obok, ciemniejsze niż z rana, nad pochyłością bulwaru. Ale dziewczynka także nie odstępowała go na chwilę, nie mógł przestać myśleć o niej.

Chłopiec wrócił ze szkoły i czytał w domu pisma ilustrowane. Fernande zapytała Yvarsa, czy wszystko poszło dobrze. Nic nie powiedział, umył się w pralni, potem usiadł na tarasie, na ławce przy ścianie. Pocerowana bielizna zwisała nad jego głową, niebo stało się przezroczyste. Fernande przyniosła anyżówkę, dwa kieliszki i dzbanek z zimną wodą. Usiadła obok męża. Opowiedział jej wszystko, trzymając ją za rękę, jak w pierwszym okresie ich małżeństwa. Skończył i siedział nieruchomo, zwrócony ku morzu, przez które, od krańca do krańca horyzontu, biegł szybki zmierzch.

– Ach, to jego wina! – powiedział.

Chciałby być młody i żeby Fernande była także młoda, pojechaliby na tamtą stronę morza.

Gość

Nauczyciel patrzył na dwóch mężczyzn zmierzających w jego stronę. Jeden był na koniu, drugi szedł pieszo. Nie wspięli się jeszcze na stromą ścieżkę wiodącą do szkoły zbudowanej na stoku pagórka. Z wysiłkiem posuwali się wolno po śniegu, pomiędzy kamieniami, na ogromnej przestrzeni pustynnego płaskowzgórza. Koń potykał się od czasu do czasu. Nie słychać go było jeszcze, ale widać było parę buchającą z jego nozdrzy. Przynajmniej jeden z mężczyzn znał okolicę. Posuwali się ścieżką, która znikła jednak od wielu dni pod białą i brudną powłoką. Nauczyciel obliczył, że będą na pagórku dopiero za pół godziny. Było zimno; wrócił do szkoły po sweter.

Przeszedł przez pustą i zimną klasę. Na czarnej tablicy cztery rzeki Francji, narysowane kredą w czterech różnych kolorach, od trzech dni płynęły ku swym ujściom. Śnieg spadł nagle w połowie października po ośmiu miesiącach suszy, po której nie nastąpiły deszcze, i dwudziestu uczniów mieszkających w wioskach rozsianych na płaskowzgórzu przestało chodzić do szkoły. Trzeba było czekać na pogodę. Daru palił tylko w pokoju przylegającym do klasy, który służył mu za mieszkanie; drzwi pokoju wychodziły także na płaskowzgórzu od strony wschodniej. Okno, podobnie jak okna klasy, na południe. Z tej strony szkoła znajdowała się w odległości kilku kilometrów od miejsca, gdzie płaskowzgórzu zaczynało opadać ku południowi. Przy dobrej pogodzie widać było fioletową masę górzystego zbocza, za którym otwierały się bramy pustyni.

Daru, trochę rozgrzany, wrócił do okna, z którego ujrzał mężczyzn po raz pierwszy. Nie było ich już widać. Weszli więc na stromą ścieżkę. Niebo było mniej ciemne: w nocy śnieg przestał padać. Poranek wstał w brudnym świetle, które nieznacznie przybierało na sile, w miarę jak sklepienie z chmur wznosiło się w górę. O drugiej po południu zdawało się, że dzień się dopiero zaczyna. Ale było to lepsze od tych trzech dni, kiedy gęsty śnieg padał w nieustannych ciemnościach, a nagle podmuchy wiatru wstrząsały podwójnymi drzwiami klasy. Daru przez długie godziny siedział cierpliwie w swoim pokoju, z którego wychodził tylko do przybudówki, żeby nakarmić kury i przynieść węgla. Na szczęście ciężarówka z Tadjid, najbliższej wsi na północy, przywiozła żywność na dwa dni przed zawieją. Powróci za czterdzieści osiem godzin.

Miał zresztą dość zapasów, żeby przetrzymać oblężenie: w pokoiku stały worki ze zbożem przysłanym przez administrację, miał je rozdać tym uczniom, których rodziny padły ofiarą suszy. Ale nieszczęście dotknęło wszystkich, wszyscy bowiem byli biedni. Codziennie Daru dawał trochę zboża dzieciom. Brakowało im tego zboża, wiedział o tym dobrze, podczas dni niepogody. Może jakiś ojciec lub starszy brat zajdzie wieczorem i Daru będzie mógł dać im ziarna. Trzeba jakoś przetrwać do następnych zbiorów, ot i tyle. Statki ze zbożem przyływały teraz z Francji, najgorsze minęło. Ale trudno będzie zapomnieć o tej nędzy, o tej armii cieniów w łachmanach błakających się w słońcu, o płaskowzgórzu, które palił żar, miesiąc po miesiącu, o ziemi dosłownie wypróżonej i kurczącej się z wolna, o kamieniach rozsypujących się pod stopą. Barany ginęły tysiącami i, tu i ówdzie, ludzie, chociaż nie zawsze wiedziało się o tym.

W obliczu tej nędzy on, który żył jak mnich niemal w swej zapadłej szkole, zadowolony zresztą z surowego życia, jakie wiódł, i z tego, co posiadał, czuł się wielkim panem, mając tynkowane ściany, wąską kanapę, półki z białego drewna, studnię i co tydzień zaopatrzenie w wodę i żywność. I nagle ten śnieg, niespodziewanie, bez ulgi deszczu. Taki był ten kraj, gdzie życie było okrutne nawet bez ludzi, którzy zresztą nie zmieniali niczego. Ale Daru tu się urodził. Wszędzie indziej czuł się wygnańcem.

Wyszedł i skierował się na taras przed szkołą. Dwaj mężczyźni znajdowali się teraz w połowie wysokości stoku. W jeźdźcu rozpoznał Balducciego, starego żandarma, którego znał od dawna. Balducci prowadził na sznurze Araba, który postępował za nim ze związanymi dłońmi i pochylonym czołem. Żandarm przywitał nauczyciela gestem, na który Daru nie odpowiedział, cały pochłonięty obserwacją Araba ubranego w dżelabę, ongi niebieską, w sandałach, ale i w skarpetkach z grubej, surowej wełny i w małym fezie na głowie. Zbliżyli się. Balducci jechał stępą, żeby koń nie uderzył Araba; grupa posuwała się wolno.

Z odległości, z której dobiegał głos, Balducci krzyknął:

– Trzy kilometry z El Ameer zrobiliśmy w godzinę!

Daru nie odpowiedział. Krótki i kwadratowy w swym grubym swetrze, patrzył, jak się wspinają. Ani razu Arab nie podniósł głowy.

– Bywajcie – powiedział Daru, kiedy pojawili się na tarasie. – Wejdźcie się ogrzać.

Balducci zsiadł ciężko z konia, nie wypuszczając sznura. Uśmiechnął się do nauczyciela pod nastroszonym wąsem. Małe, ciemne i głęboko osadzone oczy pod opalonym czołem i okolone zmarszczkami usta nadawały mu wyraz uważny i pilny. Daru wziął konia za uzdę, zaprowadził go do przybudówki i wrócił do mężczyzn, którzy czekali teraz na niego w szkole. Wprowadził ich do swego pokoju.

– Napalę w klasie – powiedział. – Tam będzie nam wygodniej. Kiedy znowu wszedł do pokoju, Balducci siedział na kanapie.

Rozwiązał sznur łączący go z Arabem, Arab przykucnął przy piecu. Ręce miał wciąż związane, fez zsunięty teraz na tył głowy; patrzył w stronę okna. W pierwszej chwili Daru zobaczył tylko jego wielkie wargi, pełne, gładkie, murzyńskie niemal; nos jednak miał prosty, oczy ciemne i rozpalone gorączką. Fez odsłonił uparte czoło i całą twarz Araba o skórze ciemnej, ale nieco przybladłej od zimna, miała wyraz niespokojny i zbuntowany zarazem, który uderzył Daru, gdy Arab, zwracając się twarzą ku niemu, spojrzął mu prosto w oczy.

– Przejdźcie do klasy – powiedział nauczyciel – zrobię wam miętowej herbaty.

– Dzięki – odparł Balducci. – Co za życie! Ale niedaleko mi już do emerytury. – I zwrócił się do więźnia po arabsku: – Chodź.

Arab wstał i powoli, trzymając przed sobą ręce związane w przegubach, przeszedł do klasy.

Daru wraz z herbatą przyniósł krzesło. Ale Balducci rozsiadł się już na pierwszej ławce szkolnej, Arab zaś przykucnął obok katedry, naprzeciw pieca, który znajdował się między biurkiem a oknem. Kiedy Daru podawał szklankę z herbatą więźniowi, zawahał się na widok związanych rąk.

– Można mu rozwiązać ręce?

– Oczywiście – powiedział Balducci. – To tylko na czas podróży.

Zrobił ruch, jakby chciał wstać. Ale Daru, stawiając szklankę na ziemi, przykląkł obok Araba. Arab, nie mówiąc słowa, patrzył na niego płonącymi od gorączki oczami. Kiedy miał już wolne ręce, potarł o siebie nabrzmiałe przeguby, wziął szklankę herbaty i wypił palący płyn małymi, szybkimi łykami.

– W porządku – powiedział Daru. – I dokąd tak jedziecie?

Balducci wyjął wąż z herbaty:

– Do ciebie, synu.

– Szczególni uczniowie! Zostaniecie na noc?

– Nie. Wracam do El Ameer. A ty odprowadzisz kolegę do Tinguit. Czekają na niego w urzędzie gminnym.

Balducci patrzył na Daru z przyjaznym uśmiechem.

– Co to znaczy? – rzekł nauczyciel. – Kpisz sobie ze mnie?

– Nie synu. Takie są rozkazy.

– Rozkazy? Nie jestem... – Daru zawahał się; nie chciał zrobić przykrości staremu Korsykaninowi. – To nie mój fach.

– I co z tego? Podczas wojny robi się wszystko.

– W takim razie poczekam na wypowiedzenie wojny!

Balducci zgodził się skinieniem głowy.

– Dobrze. Ale to są rozkazy, rozkazy ciebie także dotyczą. Nie jest spokojnie; słyszałem, że szykują bunt. Można powiedzieć, że jesteśmy zmobilizowani.

Daru czekał z wyrazem uporu.

– Posłuchaj, synu – powiedział Balducci. – Bardzo cię lubię, ale zrozum. Jest nas dwunastu w El Ameer, żeby patrolować teren wielkości małego departamentu; muszę wracać. Powiedziano mi, że mam ci powierzyć to ziółko i wrócić natychmiast. Nie można go było tam zostawić. W jego wsi ludzie się burzą, chcieli go odbić. Musisz go odprowadzić jutro do Tinguit. Dwadzieścia kilometrów nie przerazi takiego chłopca jak ty. Potem będziesz miał spokój. Wrócisz do swych uczniów i spokojnego życia.

Słychać było, jak koń parska i uderza kopytem za ścianą. Daru patrzył przez okno. Pogoda poprawiała się wyraźnie, światło rozszerzało się na zaśnieżonym płaskowzgórzu. Kiedy cały śnieg się roztopi, słońce znów zapanuje i raz jeszcze wypali kamienne pola. I znowu niewyczerpane niebo zalewać będzie suchym światłem samotną przestrzeń, gdzie nic nie nasuwa myśli o człowieku!...

– Co on zrobił? – zapytał, zwracając się do Balducciego. Zanim żandarm otworzył usta, dodał: – Czy mówi po francusku?

– Nie, ani słowa. Szukano go od miesiąca, ale oni go ukrywali. Zabił swego kuzyna.

– Jest przeciwko nam?

– Chyba nie. Ale czy to można wiedzieć.

– Dlaczego zabił?

– Sprawy rodzinne. Podobno jeden był winien zboże drugiemu. Nie bardzo wiadomo. Krótko mówiąc, zabił kuzyna nożem ogrodniczym. Wiesz, jak barana, ciach!..

Balducci zrobił ruch, jak gdyby ciągnął ostrzem po szyi, i Arab, którego uwagę zwrócił ten ruch, patrzył na niego z pewnym niepokojem. Daru poczuł, jak ogarnia go nagle gniew na tego człowieka, na wszystkich ludzi i ich obrzydliwą złość, ich niespożytą nienawiść i niepohamowane szaleństwo.

Czajnik śpiewał na piecu. Daru podał znów herbatę Balducciemu, zawahał się, potem nalał Arabowi, który i tym razem wypił chciwie. Gdy uniósł ręce, rozchyliła się dżelaba i nauczyciel ujrzał jego szczupłą i masywną pierś.

– Dziękuję, chłopcze – powiedział Balducci. – A teraz leć.

Wstał i skierował się ku Arabowi, wyciągając sznur z kieszeni.

– Co robisz? – zapytał Daru sucho.

Zdumiony Balducci pokazał mu sznur.

– Nie trzeba.

Stary żandarm zawahał się.

– Jak chcesz. Masz oczywiście broń?

– Mam strzelbę do polowania.

– Gdzie?

– W kufrze.

– Powinieneś ją mieć przy łóżku.

– Po co? Nic mi nie grozi.

– Źle masz w głowie, synu. Jeśli zaczną, nikt z nas nie będzie bezpieczny, wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

– Będę się bronił. Mam czas, będę widział, jak nadchodzą.

Balducci zaczął się śmiać, potem wąsy zasłoniły nagle jego białe jeszcze zęby.

– Masz czas? Dobrze. To właśnie mówiłem. Zawsze byłeś trochę zwariowany. Dlatego cię lubię, mój syn był taki.

Jednocześnie wyciągnął rewolwer i położył go na biurku.

– Masz, nie trzeba mi dwóch rodzajów broni w drodze do El Ameer.

Rewolwer błyszczał na czarno malowanym stole. Kiedy żandarm odwrócił się w jego stronę, Daru poczuł zapach skóry i konia.

– Posłuchaj, Balducci – powiedział nagle Daru – wszystko to mnie brzydzi, a twój facet najwięcej. Ale nie wydam go. Mogę bić się, jeśli trzeba, i owszem. Ale nie to.

Stary żandarm stał przed nim i patrzył na niego surowo.

– Robisz głupstwa – powiedział powoli. – Ja także tego nie lubię. Człowiek nie przyzwyczaja się do tego, żeby prowadzić ludzi na sznurze, a nawet, tak, nawet mu tego wstyd. Ale nie można pozwolić im na wszystko.

– Nie wydam go – powtórzył Daru.

– To rozkaz, synu. Powtarzam ci.

– Zgoda. Powtórz im, co ci powiedziałem: nie wydam go. Widać było, że Balducci się zastanawia. Patrzył na Araba i Daru.

Zdecydował się wreszcie.

– Nie, nic im nie powiem. Jeśli chcesz nas puścić kantem, proszę bardzo, ale nie będę na ciebie donosić. Kazano mi odstawić więźnia; zrobiłem to. A teraz podpisz mi papier.

– To zbyt ciężkie. Nie powiem, żeś mi go nie przyprowadził.

– Nie dokuczaj mi. Wiem, że powiesz prawdę. Jesteś stąd, jesteś mężczyzną. Ale musisz podpisać, takie są przepisy.

Daru otworzył szufladę, wyjął małą kwadratową butelkę z fioletowym atramentem i piórnik z czerwonego drewna, gdzie znajdowało się pióro rondowe, którego używał na lekcjach kaligrafii, i podpisał. Żandarm złożył starannie papier i schował go do portfela. Potem ruszył ku drzwiom.

– Odprowadzę cię – powiedział Daru.

– Nie – rzekł Balducci. – To zbyt tania uprzejmość. Obraziłeś mnie.

Spojrzał na Araba siedzącego bez ruchu na tym samym miejscu, sapnął smutno i odwrócił się ku drzwiom:

– Do widzenia, synu! – powiedział.

Drzwi trzasnęły za nim. Balducci pojawił się pod oknem, potem zniknął. Jego kroki głużył śnieg. Koń poruszył się za przepierzeniem, płosząc kury. W chwilę potem Balducci ukazał się znów pod oknem, prowadząc konia za uzdę. Nie odwracając się, szedł w stronę stromej ścieżki; znikł pierwszy, koń za nim. Słychać było, jak miękko spada wielki kamień. Daru powrócił do więźnia, który nie poruszył się, ale nie spuszczał z niego oczu.

– Zaczekaj – powiedział nauczyciel po arabsku i skierował się do pokoju.

Kiedy przekraczał próg, przystanął, podszedł do biurka, wziął rewolwer i wsunął go do kieszeni. Potem, nie odwracając się, wszedł do pokoju.

Długo leżał na kanapie patrząc, jak niebo zamyka się z wolna, i słuchając ciszy. Ta cisza wydawała mu się przykra w pierwszych dniach po przyjeździe, po wojnie. Poprosił o posadę w miasteczku u stóp górzystego zbocza oddzielającego wysokie płaskowzgórza od pustyni. Skaliste ściany, zielone i czarne na północy, różowe i fioletowe na południu, znaczyły granicę wiecznego lata. Skierowano go bardziej na północ, na płaskowzgórza. Z początku samotność i cisza ciążyły mu na tych niewdzięcznych ziemiach zamieszkałych tylko przez kamienie. Czasem patrząc na bruzdy można było pomyśleć, że to uprawne pole, ale bruzdy żłobiono po to, by wydobyć pewien gatunek kamienia nadający się do budowli. Ludzie orali, żeby zbierać kamienie. Kiedy indziej wygrzebywano wióry ziemi ukrytej w zagłębieniach, żeby użyźnić nędzne ogrody wiejskie. Tak, kamień pokrywał trzy czwarte tego kraju. Miasta rodziły się tu, rozbłyskiwały, potem znikwały; ludzie przechodzili przez nie, kochali się lub skakali sobie do gardła, potem umierali. Na tej pustyni każdy, i on, i jego gość, był niczym. A jednak ani jeden, ani drugi nie mogli bez tej pustyni żyć naprawdę. Daru o tym wiedział.

Kiedy wstał, żaden odgłos nie dochodził z klasy. Zdumiała go szczera radość, jaką poczuł na samą myśl o tym, że Arab mógł uciec i że znajdzie się sam, wolny od wszelkiej decyzji. Ale więzień był w klasie. Wyciągnął się tylko na podłodze między piecem i biurkiem. Oczy miał otwarte i patrzył w sufit. W tej pozycji widać było wyraźnie jego grube wargi, które nadawały mu nadąsany wyraz.

– Chodź – powiedział Daru.

Arab wstał i poszedł za nim. W pokoju nauczyciel wskazał mu krzesło przy stole, pod oknem. Arab usiadł, nie przestając patrzeć na Daru.

– Jesteś głodny?

– Tak – odparł więzień.

Daru postawił dwa nakrycia. Wziął mąkę i oliwę, ugniół na półmisku placek i zapalił kuchenkę gazową. Podczas gdy placek piekł się, wyszedł do przybudówki po ser, jajka, daktyle i mleko skondensowane. Kiedy placek był gotów, położył go na parapecie okna, by ostygł, zagrzał mleko skondensowane, rozprowadziwszy je wodą, i na koniec ubił jajka na omlet. W pewnej chwili zawadził o rewolwer tkwiący w prawej kieszeni. Postawił naczynie, przeszedł do klasy i włożył rewolwer do szuflady biurka. Kiedy wrócił, noc zapadała. Zaświecił światło i podał jedzenie Arabowi:

– Jedz – powiedział.

Arab wziął kawałek placka, podniósł go szybko do ust i zatrzymał się.

– A ty? – zapytał.

– Zjedz ty najpierw. Będę jadł także.

Grube wargi rozchyliły się lekko, Arab zawahał się, potem śmiało ugryzł kawałek placka.

Skończywszy posiłek, spojrzał na nauczyciela.

– To ty jesteś sędzią?

– Nie, zostajesz u mnie do jutra.

– Dlaczego jesz ze mną?

– Jestem głodny.

Arab zamilkł. Daru wstał i wyszedł. Przyniósł z przybudówki łóżko polowe i ustawił je między stołem i piecem, prostopadle do swego łóżka. Z wielkiej walizy stojącej w rogu, która służyła mu za półkę do papierów, wyjął dwa koce i ułożył je na łóżku polowym. Potem zatrzymał się, czując, że nie ma nic do roboty, i usiadł na łóżku. Wszystko już zrobił i przygotował. Teraz trzeba było patrzeć na tego człowieka. Patrzył więc na niego, starając się wyobrazić sobie tę twarz w przypiływie szaleństwa. Ale nie potrafił. Widział tylko ciemne i błyszczące oczy, i zwierzęce usta.

– Dlaczego go zabiłeś? – powiedział głosem, którego wrogość go zdumiała.

Arab odwrócił spojrzenie.

– Uciekł. Pobiegnę za nim.

Podniósł na Daru oczy i oczy te były jednym nieszczęsnym pytaniem.

– Co mi teraz zrobią?

– Boisz się?

Arab zeszywniał i odwrócił oczy.

– Żałujesz?

Arab patrzył na niego z otwartymi ustami. Widać było, że nie rozumie. Rozdrażnienie ogarniało Daru. Jednocześnie czuł się niezgrabnie i obco w swoim ciężkim ciele tkwiącym między dwoma łózkami.

– Połóż się – powiedział niecierpliwie. – To twoje łóżko.

Arab nie ruszał się. Zawołał Daru:

– Słuchaj!

Nauczyciel spojrział na niego.

– Żandarm wróci jutro?

– Nie wiem.

– Pójdiesz z nami?

– Nie wiem. Dlaczego?

Więzień wstał i wyciągnął się na kocach, nogami ku oknu. Światło żarówki elektrycznej padało mu prosto w oczy; zamknął je natychmiast.

– Dlaczego? – powtórzył Daru, stojąc przy łóżku. Arab otworzył oczy pod oślepiającym światłem i patrzył na niego, usiłując nie mrugać powiekami.

– Chodź z nami – powiedział.

W połowie nocy Daru wciąż nie spał. Położył się do łóżka zupełnie rozebrany: zazwyczaj spał nago. Ale kiedy znalazł się bez ubrania w pokoju, zawahał się. Czuł się bezbronny, ogarnęła go chęć, żeby się ubrać. Potem wzruszył ramionami; nie z takimi miał już do czynienia; jeśli będzie trzeba, da już sobie z nim radę. Ze swego łóżka mógł go obserwować: leżał na plecach, wciąż nieruchomy, z oczami zamkniętymi pod ostrym światłem. Kiedy Daru zgasił, zdawało się, że ciemności stężyły nagle. Z wolna noc ożywała w oknie, gdzie niebo bez gwiazd drżało lekko. Nauczyciel odróżnił wkrótce ciało wyciągnięte obok. Arab ciągle leżał bez ruchu, ale zdawało się, że oczy ma otwarte. Lekki wiatr wałęsał się wokół szkoły. Może przepędzi chmury i słońce powróci.

W nocy wiatr przybrał na sile. Kury zagdakały, potem zamilkły. Arab odwrócił się na bok, plecami do Daru, i nauczycielowi wydało się, że słyszy jęk. Śledził jego oddech, który stał się silniejszy i bardziej regularny. Słuchał tego oddechu dochodzącego z tak bliska i rozmyślał, nie mogąc usnąć. W tym pokoju, gdzie od roku spał sam, ta obecność go krępowała. Ale krępowała go także dlatego, że narzucała mu jakieś braterstwo, które odrzucał w obecnych warunkach, a które znał dobrze: między mężczyznami, żołnierzami czy więźniami, którzy mieszkają razem, powstaje szczególna więź, jak gdyby, porzuciwszy swój rynsztunek wraz z ubraniem, łączyli się co wieczór, ponad tym, co ich dzieli, w odwiecznej wspólnotie snu i zmęczenia. Ale Daru otrząsnął się; nie lubił tych głupstw, trzeba było spać.

Nieco później jednak, kiedy Arab poruszył się niedostrzegalnie, nauczyciel wciąż nie spał. Przy drugim poruszeniu się więźnia znieruchomiał w czujnym napięciu. Arab unosił się powoli na rękach, ruchem niemal somnambulicznym. Siedząc na łóżku, czekał bez drgnienia, nie zwracając głowy w stronę Daru, jak gdyby nasłuchiwał z największą uwagą. Daru nie ruszał się; pomyślał, że rewolwer został w szufladzie biurka. Należało działać szybko. Obserwował jednak nadal więźnia, który tym samym naoliwionym jakby ruchem spuścił nogi na ziemię, czekał jeszcze, potem wyprostował się powoli. Daru miał go zawołać, kiedy Arab zaczął iść, tym razem krokiem naturalnym, ale niezwykle cichym. Szedł ku drzwiom w głębi wychodzącym do przybudówki. Odsunął ostrożnie zasuwkę i wyszedł, zostawiając za sobą drzwi otwarte. Daru się nie ruszał: „Ucieka – pomyślał tylko. – Pozbyłem się kłopotu!”. Nasłuchiwał jednak. Kury siedziały cicho; Arab był więc na płaskowzgórzu. Dobiegł go słaby odgłos wody i zrozumiał, co to znaczy, dopiero wówczas, gdy Arab znów stanął w drzwiach, zamknął je starannie i położył się bez najmniejszego hałasu. Wtedy Daru odwrócił się do niego plecami i zasnął. Trochę później zdawało mu się, że słyszy z głębi snu kroki skradające się wokół szkoły. „Śnię, śnię!” – powtarzał sobie. I spał.

Kiedy zbudził się, niebo było bez chmur; przez niedomknięte okno wchodziło zimne i czyste powietrze. Arab spał, skurczony teraz pod kocami, z otwartymi ustami, zupełnie bezbronny. Ale kiedy Daru nim potrząsnął, podskoczył gwałtownie i nie poznając Daru, patrzył na niego obłąkanymi oczami z wyrazem takiego przerażenia, że nauczyciel cofnął się o krok.

– Nie bój się. To ja. Trzeba coś zjeść.

Arab skinął głową i powiedział:

– Tak.

Spokój wrócił na jego twarz, która zachowała jednak nieobecny i roztargniony wyraz.

Kawa była gotowa. Wypili ją, siedząc na polowym łóżku i gryząc placek. Potem Daru zaprowadził Araba do przybudówki i pokazał mu kran, gdzie się mył. Wrócił do pokoju, złożył koc i łóżko polowe, zasłał swoje łóżko i uporządkował pokój. Wyszedł przez klasę na taras. Słońce wznosiło się już na niebieskim niebie; delikatne i żywe światło zalewało puste płaskowzgórze. Śnieg topniał tu i ówdzie na stromej ścieżce. Znowu ukażą się kamienie. Nauczyciel, przykucnąwszy na skraju płaskowzgórza, patrzył na pustą przestrzeń. Myślał o Balduccim. Zrobił mu przykrość, odprawił go z kwitkiem, jak gdyby nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Słyszał jeszcze pożegnanie żandarma i nie wiadomo dlaczego czuł się dziwnie pusty i wystawiony na ciosy. W tej chwili Arab kaszlnął po drugiej stronie szkoły. Daru słuchał niemal wbrew woli, potem z wściekłością cisnął kamień, który zagwizdał w powietrzu, zanim zapadł w śnieg. Głupia zbrodnia tego człowieka oburzała go, ale wydać go byłoby sprzeczne z honorem: na samą myśl o tym czuł się upokorzony do szaleństwa. I przeklinał swoich, którzy przysłali mu tego Araba, i Araba, który odważył się zabić i nie potrafił uciec. Daru wstał, obszedł wkoło taras, zaczekał chwilę i wrócił do szkoły.

Arab, schylony nad cementową podłogą przybudówki, mył sobie zęby dwoma palcami. Daru spojrział na niego i powiedział:

– Chodź.

Wszedł pierwszy do pokoju. Wciągnął na sweter kurtkę do polowania i obuł ciężkie buty. Czekał, stojąc, aż Arab włoży fez i sandały. Przeszli do klasy i nauczyciel wskazał wyjście swemu towarzyszowi.

– Idź – powiedział.

Arab nie ruszył się.

– Idę także – powiedział Daru.

Arab wyszedł, Daru wrócił do pokoju i zapakował trochę sucharów, daktyli i cukru. W klasie zawahał się na sekundę przed biurkiem, potem przekroczył próg i zaryglował drzwi.

– Tędy – powiedział.

Skierował się na wschód; więzień szedł za nim. Ale w niewielkiej odległości od szkoły wydało mu się, że słyszy jakiś hałas za sobą. Zawrócił, obszedł dom: nie było nikogo. Arab patrzył na niego, jakby nie rozumiejąc.

– Chodźmy – powiedział Daru.

Szli godzinę, potem odpoczęli przy wapiennej iglicy. Śnieg topniał coraz szybciej, słońce wypijało natychmiast kałuże i oczyszczało w pośpiechu płaskowzgórze. Kiedy ruszyli znowu, ziemia dźwięczała pod ich nogami. Od czasu do czasu ptak przecinał przestrzeń przed nimi z wesołym piskiem. Daru pił głębokimi haustami świeże światło. Jakieś uniesienie rodziło się w nim w obliczu tej wielkiej znajomej przestrzeni, niemal całkiem żółtej teraz pod czapką błękitnego nieba. Doszli do spłaszczonego wzgórza zbudowanego z kruchych skał. Począwszy od tego miejsca, płaskowzgórze zstępowało na wschodzie ku niskiej równinie, gdzie można było rozróżnić kilka nędznych drzew i, na południu, ku grupom skał, które nadawały pejzażowi niespokojny wyraz.

Daru spojrział w obu kierunkach. Na horyzoncie było tylko niebo, ani śladu człowieka. Odwrócił się ku Arabowi, który patrzył na niego, nie rozumiejąc. Daru podał mu paczkę:

– Weź – powiedział – to daktyle, chleb i cukier. Wystarczy ci na dwa dni. Masz także tysiąc franków.

Arab wziął paczkę i pieniądze, ale trzymał ręce na wysokości piersi, jakby nie wiedział, co ma robić z tym, co dostał.

– Spójrz teraz – powiedział nauczyciel i wskazał na wschód – oto droga do Tinguit. Masz stąd dwie godziny marszu. W Tinguit jest administracja i policja. Czekają na ciebie.

Arab patrzył na wschód, wciąż trzymając przy sobie paczkę i pieniądze. Daru wziął go za ramię i szorstko obrócił go o jedną czwartą, w stronę południa. U stóp wzniesienia, gdzie się znajdowali, można było odgadnąć zarys ledwie nakreślonej drogi.

– Ta ścieżka przecina płaskowzgórze. W ciągu jednego dnia dojdiesz do pastwisk i pierwszych koczowników. Przyjmą cię i schronią zgodnie z ich obyczajem.

Arab zwrócił się teraz w stronę Daru i widać było popłoch na jego twarzy:

– Posłuchaj – powiedział.

Daru potrząsnął głową:

– Nie, milcz. Teraz cię zostawiam.

Odwrócił się do niego plecami, zrobił dwa wielkie kroki w kierunku szkoły, spojrział z niepewnym wyrazem na stojącego bez ruchu Araba i odszedł. Przez kilka minut słyszał tylko własne kroki, dźwięczące na zimnej ziemi, i nie odwracał głowy. Po chwili jednak odwrócił się. Arab stał wciąż na skraju wzgórza, ze zwisającymi teraz rękami, i patrzył na nauczyciela. Daru poczuł skurcz w gardle. Ale zaklął zniecierpliwiony, skinął szeroko ręką i odszedł. Był już daleko, kiedy zatrzymał się znów i spojrział. Na wzgórzu nie było już nikogo.

Daru zawahał się. Słońce było teraz dość wysoko na niebie i zaczynało mu palić czoło. Nauczyciel zawrócił, naprzód niepewnie, potem już zdecydowany. Kiedy doszedł do małego wzgórza, ociekał potem. Wspiął się z największym pośpiechem i stanął bez tchu na szczycie. Na południu skaliste pola rysowały się wyraźnie na niebieskim niebie, ale z równiny na wschodzie podnosił się już opar żaru. I w tej lekkiej mgłę Daru ze ściśniętym sercem zobaczył Araba, który szedł wolno drogą wiodącą do więzienia.

Nieco później, stojąc przy oknie w klasie, nauczyciel patrzył, nie widząc, na żółte światło, które z wysokości nieba spadało na całą powierzchnię płaskowzgórza. Za nim, na czarnej tablicy, pomiędzy meandrami rzek francuskich, widniał napis skreślony niewprawną ręką, który przed chwilą przeczytał: „Wydaleś naszego brata. Zapłacisz za to”. Daru patrzył na niebo, na płaskowzgórze i dalej, na niewidoczne ziemię ciągnące się aż do morza. W tym ogromnym kraju, który tak kochał, był sam.

Jonas albo artysta przy pracy

*Weźnijcie mię, a wrzucie mię w morze...
gdyż ja wiem, iż dla mnie to wzruszenie
wielkie na was przyszło.*

Jonasz, 1, 12

Gilbert Jonas, artysta-malarz, wierzył w swoją gwiazdę. Wierzył zresztą tylko w nią, choć czuł szacunek, a nawet coś na kształt podziwu dla religii innych. Jego własna wiara miała jednak swoje zalety, skoro polegała na niejasnym przekonaniu, że osiągnie on wiele, na nic nie zasługując. Toteż kiedy Jonas miał jakie trzydzieści pięć lat i dziesięciu krytyków zaczęło się spierać, komu z nich przypada chwała odkrycia jego talentu, nie okazał najmniejszego zdziwienia. Jego pogodę przypisywali niektórzy zarozumiałości, ale tłumaczyła ją doskonale ufna skromność. Jonas oddawał raczej sprawiedliwość swej gwieździe niż własnym zasługom.

Okazał nieco większe zdziwienie, kiedy pewien marszand zaproponował mu pensję miesięczną, która uwalniała go od wszelkich trosk. Na próżno architekt Rateau, który od czasów szkolnych kochał Jonasa i jego gwiazdę, tłumaczył mu, że ta pensja zapewni mu życie przyzwoite i że marszand nic na tym nie straci.

– A jednak – mówił Jonas.

Rateau, któremu wiodło się we wszystkim, co przedsiębrał, ale dzięki sile pięści, ofuknął przyjaciela.

– Co u licha? Musisz z nim porozmawiać.

Jonas ani myślał. W duchu dziękował swojej gwieździe.

– Będzie tak, jak pan sobie życzy – powiedział do marszanda. I porzucił posadę w firmie wydawniczej swego ojca, żeby poświęcić się całkowicie malarstwu. – Co za szczęście! – mówił.

Naprawdę zaś myślał: „Szczęście mnie nie opuszcza”. Jak daleko mógł sięgnąć pamięcią, zawsze mu towarzyszyło. Żywił tedy czułą wdzięczność dla rodziców, przede wszystkim dlatego, że nie poświęcali wiele uwagi jego wychowaniu, dzięki czemu miał czas na marzenia, po drugie zaś dlatego, że żyli w separacji z powodu wiarołomstwa. Taki przynajmniej pretekst podawał jego ojciec, nie napomykając wszakże, że chodziło o wiarołomstwo dość szczególnego rodzaju: nie mógł ścierpieć dobroczynności swej żony, prawdziwej świętej laickiej, która nie widząc w tym nic złego, ofiarowała się cierpiącej ludzkości. Ale mąż uważał się za pana cnót swej żony.

– Mam tego dosyć – mówił ten Otello – żeby zdradzano mnie z ubogimi.

To nieporozumienie wyszło Jonasowi na dobre. Jego rodzice, którzy przeczytali czy dowiedzieli się, że dzieci rozwiedzionych rodziców wyrastają często na sadystycznych morderców, prześcigali się w rozpieszczaniu syna, by zdusić w zarodku tak bardzo niebezpieczne możliwości. Im mniej widoczne były efekty szoku, którego ich zdaniem doznała świadomość dziecka, tym większy budziły w nich niepokój: niedostrzegalne spustoszenia muszą sięgać najgłębiej. Wystarczyło, żeby Jonas powiedział, iż rad jest z siebie lub ze spędzonego dnia, a niepokój rodziców dochodził do szaleństwa. Okazywali mu dwa razy tyle względów i dziecko nie miało już czego pragnąć.

Rzekome nieszczęście sprawiło też, że Jonas miał w swym przyjacielu Rateau oddanego brata. Rodzice Rateau zapraszali często jego kolegę z liceum, pełni współczucia dla niedoli dziecka. Mówili o nim z taką litością, że ich żywy i wysportowany syn zapragnął zaopiekować się chłopcem, którego beztrudnie sukcesy podziwiał. Podziw i uległość były elementami tej przyjaźni, którą Jonas przyjął z równie zachęcającą prostotą jak wszystko inne.

Kiedy Jonas bez większego wysiłku skończył studia, szczęście znów mu dopisało, wszedł bowiem do firmy wydawniczej swego ojca, co zapewniło mu dochody i co, w sposób pośredni, pozwoliło mu odkryć swoje powołanie. Ojciec Jonasa, pierwszy wydawca Francji, był zdania, że książka ma dziś przyszłość bardziej niż kiedykolwiek, i to właśnie dzięki kryzysowi kultury.

– Historia dowodzi – mawiał – że im mniej się czyta, tym więcej kupuje się książek.

Bardzo rzadko więc czytał otrzymane rękopisy, drukował je tylko wówczas, gdy autor był kimś znanym lub jeśli wybierał temat aktualny (tematem zawsze aktualnym są sprawy płci i wydawca w końcu się w tym temacie wyspecjalizował), i zajmował się tylko wyszukiwaniem interesujących nowości oraz taniej reklamy. Objąwszy więc dział lektur, Jonas zyskał sporo wolnego czasu, z którym trzeba było coś zrobić. W ten sposób natrafił na malarstwo.

Po raz pierwszy odkrył w sobie nieoczekiwany, ale niestygnący zapach; wkrótce poświęcał całe dni na malowanie i, wciąż bez wysiłku, doszedł w tym do doskonałości. Zdawało się, że nic więcej go nie interesuje, i ledwo zdołał się ożenić, gdy nadeszła pora: malarstwo pochłaniało go całkowicie. Dla ludzi i zwyczajnych zdarzeń życia miał tylko życzliwy uśmiech, który zwalniał go od przejmowania się nimi. Trzeba było wypadku podczas jazdy motocyklem, który Rateau prowadził zbyt gwałtownie (jego przyjaciel siedział z tyłu), żeby Jonas z nudy, miał bowiem prawą rękę w bandażu, mógł wreszcie zainteresować się miłością. Nawet ten poważny wypadek skłonny był przypisać swej dobrej gwiazdce. Inaczej nie miałby czasu przyjrzeć się Louise Poulin, tak jak na to zasługiwała.

Zdaniem Rateau zresztą, Louise nie zasługiwała na to, żeby się jej przyglądać. Mały i krępy Rateau lubił tylko duże kobiety.

– Nie wiem, co widzisz w tej mrówce – mówił.

Louise była rzeczywiście mała, o ciemnych włosach, oczach i skórze, ale zgrabna i miła z wyglądu. Mrówka rozczulała wielkiego i mocno zbudowanego Jonasa, tym bardziej że była zmyślna. Powołaniem Louise była aktywność. To powołanie zgadzało się szczęśliwie z upodobaniem Jonasa do bierności i było mu na rękę. Louise poświęciła się z początku literaturze, dopóty przynajmniej, dopóki sądziła, że wydawnictwo interesuje Jonasa. Czytała wszystko bez wyboru i po kilku tygodniach mogła już mówić o wszystkim. Jonas podziwiał ją i uznał, że jest ostatecznie zwolniony z lektur, skoro Louise informowała go wystarczająco i skoro dzięki niej mógł się zapoznać z najważniejszymi odkryciami współczesnymi.

– Nie trzeba mówić – zapewniała Louise – że X jest zły lub brzydki, ale że chce być zły lub brzydki.

Rozróżnienie było istotne i, jak zauważył Rateau, mogło co najmniej doprowadzić do potępienia rodzaju ludzkiego. Ale Louise rozstrzygnęła kwestię, dowodząc, że jest to prawda uniwersalna i nie podlega dyskusji, skoro opowiada się za nią zarówno prasa poświęcona sprawom kobiety, jak i miesięczniki filozoficzne.

– Jak pani sobie życzy – powiedział Jonas, który zapomniał natychmiast o tym okrutnym odkryciu, żeby marzyć o swej gwiazdzie.

Louise porzuciła literaturę od chwili, kiedy zrozumiała, że Jonas interesuje się tylko malarstwem. Natychmiast zajęła się sztukami plastycznymi, zwiedzała muzea i wystawy, zabierała ze sobą Jonasa, który nie bardzo rozumiał, co malują jego współcześni, i w swej prostocie czuł się tym jako artysta zażenowany. Cieszył się jednak, że orientuje się tak dobrze we wszystkim, co dotyczy jego sztuki. Co prawda nazajutrz nie pamiętał nawet nazwiska malarza, którego dzieła oglądał. Ale Louise miała rację, powołując się w sposób stanowczy na jedną ze zdobyczy swego literackiego okresu, a mianowicie, że nigdy nie zapomina się niczego. Gwiazda niewątpliwie czuwała nad Jonaszem, który mógł z czystym sumieniem zaznać wygod zapomnienia, nie tracąc wartości, jakie daje pamięć.

Ale skarby oddania, jakimi szafowała Louise, iskrzyły się najpiękniejszym blaskiem w codziennym życiu Jonasa. Ten dobry anioł oszczędzał mu kupowania butów, ubrań i bielizny, co każdemu normalnemu człowiekowi skraca dni i tak krótkiego życia. Louise dzielnie podjęła się załatwiania tysiąca spraw, które są wynalazkiem maszyny do zabicia czasu, od niezrozumiałych druków ubezpieczeń społecznych do wciąż nowych zarządzeń podatkowych.

– Tak – mówił Rateau – zgoda. Ale ona nie może iść do dentysty zamiast ciebie.

Louise nie chodziła do dentysty, ale telefonowała i zamawiała wizytę o najdogodniejszej porze; pamiętała o remoncie samochodu i o węglu do domu, rezerwowała pokoje w hotelach na wakacje, kupowała prezenty, które Jonas chciał ofiarować, wybierała i wysyłała za niego kwiaty i znajdowała jeszcze czas, żeby wpaść do niego, gdy był nieobecny, i posłać mu łóżko na noc.

Z nie mniejszym zapałem weszła do tego łóżka, potem zorganizowała spotkanie z merem, zaprowadziła do niego Jonasa na dwa lata przedtem, zanim uznano wreszcie jego talent, i obmyśliła podróż poślubną tak, żeby nie opuścić żadnego muzeum. Ale wpieryw jeszcze, podczas wielkiego kryzysu mieszkaniowego, znalazła trzypokojowe mieszkanie, gdzie osiedli po powrocie. Następnie urodziła dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, niemal jedno po drugim, zgodnie ze swym planem przewidującym troje; plan ten został wykonany niedługo potem, gdy Jonas porzucił firmę wydawniczą, by poświęcić się malarstwu.

Po porodzie zresztą Louise zajęła się naprzód pierwszym dzieckiem, potem następnymi. Próbowwała jeszcze pomagać mężowi, brakło jej jednak czasu. Żałowała oczywiście, że zaniedbuje Jonasa, ale że miała stanowczy charakter, nie traciła czasu na te żale.

– Trudno – mówiła – każdy ma swój warsztat.

To określenie zachwycało zresztą Jonasa, pragnął bowiem, jak wszyscy artyści jego czasu, uchodzić za rzemieślnika. Rzemieślnik był więc nieco zaniedbany i musiał sam kupować sobie buty. Ale nie mówiąc już o tym, że jest to w porządku rzeczy, Jonas był raczej rad z takiego obrotu spraw. Oczywiście, trzeba było wysiłku, żeby pójść do sklepu, ale ten wysiłek nagradzała godzina samotności, która dodaje tyle ceny szczęściu małżeńskiemu.

Problem przestrzeni życiowej wysuwał się jednak zdecydowanie na plan pierwszy, czas i przestrzeń kurczyły się bowiem wokół nich z jednakową szybkością. Przyjście na świat dzieci, nowy zawód Jonasa, ciasne mieszkanie i skromna pensja niepozwalająca na kupienie większego, pozostawiały ograniczone pole dla działalności jego i Louise. Mieszkanie znajdowało się w starej dzielnicy, na pierwszym piętrze osiemnastowiecznego pałacu. Wielu artystów mieszkało w tej części stolicy, byli bowiem wierni zasadzie, że poszukiwaniu nowości w sztuce najbardziej sprzyja staroświeckie otoczenie. Jonas, który podzielał to przekonanie, bardzo się cieszył ze swego mieszkania.

Jedno w każdym razie nie ulegało wątpliwości: mieszkanie było stare. Ale pewne nader nowoczesne urządzenia nadawały mu wygląd oryginalny, co polegało przede wszystkim na tym, że przy ograniczonej powierzchni miało ogromną ilość powietrza. Niezwykle wysokie i ozdobione wspaniałymi oknami pokoje były zapewne przeznaczone na wystawne przyjęcia, jeśli sądzić z majestatycznych proporcji. Brak mieszkań jednak i renta od nieruchomości spowodowały, że kolejni właściciele podzielili przepierzeniami ogromne pokoje i powiększyli w ten sposób ilość pomieszczeń, które za wygórowane ceny odnajmowali trzódce lokatorów. Mimo to podkreślali zalety mieszkań, zwracając uwagę na to, co nazywali „kubaturą powietrza”. Była to zaleta bezsporna, którą trzeba wszakże przypisać niemożności podzielenia pokoi przepierzeniami na piętra. Gdyby nie to, właściciele nie zawahaliby się przed koniecznymi ofiarami i udzieliliby schronienia kilku jeszcze przedstawicielom młodej generacji, w owym czasie szczególnie chętnej do małżeństw i bardzo płodnej. „Kubatura powietrza” miała zresztą same dobre strony. Jedyną niedogodność polegała na tym, że trudno było ogrzać pokoje zimą, co zmuszało niestety właścicieli do podniesienia opłaty za opał. W lecie mieszkania dosłownie zalewało światło; oszklona powierzchnia była ogromna, a okna nie miały żaluzji. Właściciele nie pomyśleli o tym, zniechęceni zapewne wysokością okien i ceną stolarszczyzny. Grube zasłony mogły zresztą doskonale zastąpić żaluzje, a pieniądze nie wchodziły w grę, skoro była to sprawa lokatorów. Właściciele jednak nie odmawiali im pomocy i po cenach konkurencyjnych proponowali zasłony z własnych sklepów. Doprawdy, filantropia mieszkaniowa to był ich konik. Życie codzienne tych nowych książąt upływało na sprzedawaniu perkalu i aksamitu.

Jonas zachwycał się zaletami mieszkania i bez trudu przystał na jego braki. „Jak pan sobie życzy” – powiedział do właściciela, gdy była mowa o dopłacie za opał. Jeśli idzie o zasłony, zgodził się z Louise, która uważała, że wystarczy dać zasłony tylko w sypialni.

– Nie mamy nic do ukrycia – mówiło to czyste serce.

Jonasa szczególnie oczarował wielki pokój, którego sufit był tak wysoko, że nie mogło być mowy o instalacji elektrycznej. Do tego pokoju wchodziło się z klatki schodowej; wąski korytarz łączył go z dwoma innymi, znacznie mniejszymi i umieszczonymi w amfiladzie. U końca mieszkania kuchnia sąsiadowała z wygodką i komórką o pięknej nazwie „natryski”, która miałaby sens pod warunkiem że umieszczono by tam pionowy prysznic, a osobnik korzystający z jego dobroczynnego działania zachowałby całkowitą nieruchomość.

Dzięki niezwyklej naprawdę wysokości sufitów i szczupłym rozmiarom pokoju, mieszkanie było szczególną kombinacją prostopadłościanów, niemal całkowicie oszklonych, pełnych drzwi i okien, gdzie meble nie miały oparcia, a ludzie, zagubieni w białym i ostrym świetle, poruszali się jak nurkowie w pionowo ustawionym akwarium. Co więcej, wszystkie okna wychodziły na podwórze, to znaczy z niewielkiej odległości na inne okna w tym samym stylu, za którymi widać było niemal natychmiast wysoki rysunek dalszych okien, wychodzących na następne podwórze.

– To zwierciadlana sala – mówił urzeczony Jonas.

Za radą Rateau wybrano na sypialnię jeden z małych pokoi, drugi miał być dla dziecka, którego się już spodziewano. Wielki pokój służył Jonasowi za pracownię w dzień, za pokój mieszkalny wieczorem i za stołowy w godzinach posiłków. Na upartego można było zresztą jadać w kuchni, pod warunkiem że Jonas albo Louise zechcieliby jeść, stojąc. Rateau ze swej strony powiększył ilość pomysłowych urządzeń. Obrotowe drzwi, ukryte półki i składane stoły wynagradzały brak mebli i podkreślały oryginalność tego mieszkania, które przypominało czarodziejską szkatułkę.

Ale kiedy już pokoje były pełne obrazów i dzieci, trzeba było pomyśleć o nowych zmianach. Przed urodzeniem trzeciego dziecka Jonas pracował w wielkim pokoju, Louise robiła na drutach w małżeńskiej sypialni, zaś dwoje małych zajmowało ostatni pokój; tam się bawiły, w razie możliwości płacząc się po całym mieszkaniu. Postanowiono więc umieścić najmłodsze w kącie pracowni, który Jonas oddzielił, ustawiając płótna jedne na drugich na kształt parawanu; miało to tę dobrą stronę, że dziecko można było słyszeć i odpowiedzieć na jego wołania. Jonas nigdy zresztą nie musiał przerywać pracy, Louise uprzedzała go. Nie czekała, aż dziecko zacznie krzyczeć, ale wchodziła do pracowni najostrożniej, jak mogła, i zawsze na koniuszkach palców. Jonas, wzruszony tą delikatnością, zapewnił kiedyś Louise, że nie jest tak wrażliwy i że odgłos jej kroków nie przeszkadza mu w pracy. Louise odpowiedziała, że chodzi także o to, by nie obudzić dziecka. Jonas pełen podziwu dla macierzyńskiego serca, które poznawał w ten sposób, śmiał się serdecznie ze swej pomyłki. Nie odważył się jednak powiedzieć, że te środki ostrożności przeszkadzają mu bardziej niż normalne wejście. Przede wszystkim dlatego, że rzecz trwała dłużej, po drugie zaś, że Louise wchodziła w pewien szczególny sposób: z wyciągniętymi rękami poddana nieco do tyłu, wznosząc wysoko nogę, nie mogła zjawić się niezauważona. Ta metoda nie była również w zgodzie z jej głośno wypowiedzianymi intencjami, skoro Louise mogła w każdej chwili potrafić jakieś płótno, których pełno było w pracowni. Hałas budził wówczas dziecko, które manifestowało swoje niezadowolenie wszystkimi dostępnymi mu środkami, wcale potężnymi zresztą. Ojciec, zachwycony siłą płuc syna, śpieszył go ukołysać, w czym wkrótce zastępowała go żona. Jonas podnosił płótna, potem z pędzlami w rękach słuchał, oczarowany, upartego i władczego głosu syna.

Był to okres, kiedy Jonas dzięki swym sukcesom zdobył sobie wielu przyjaciół. Przyjaciele dawali o sobie znać telefonicznie albo zjawiali się bez uprzedzenia. Telefon, który po głębokim namyśle umieszczono w pracowni, rozbrzmiewał często, zawsze ze szkodą dla snu dziecka; jego krzyki mieszały się z rozkazującym dzwonkiem aparatu. Jeśli Louise zajęta była przypadkiem starszymi dziećmi, przybiegała wraz z nimi, ale najczęściej zastawała Jonasa z dzieckiem na jednej ręce, z pędzlami i słuchawką w drugiej; właśnie zapraszano go serdecznie na obiad. Jonas wpadał w zachwyt, że ktoś chce zjeść z nim obiad; taki z niego nieciekawym rozmówcą, ale wolałby wyjść wieczorem i mieć cały dzień do pracy. Najczęściej przyjaciel rozporządzał czasem tylko w porze obiadu i, niestety, tylko tego właśnie dnia; zależało mu ogromnie na spotkaniu z drogim Jonasem. Drogi Jonas zgadzał się:

– Jak pan sobie życzy! – odkładał słuchawkę, mówiąc: – Jakiż on miły! – i oddawał dziecko Louise.

Potem wracał do pracy, którą przerywał wkrótce obiad lub kolacja. Trzeba było odsunąć płótna, rozłożyć udoskonalony stół i siadać wraz z dziećmi. Podczas posiłku Jonas nie spuszczał oka z obrazu, który właśnie malował, i dochodził do przekonania, przynajmniej z początku, że jego dzieci żują i łykają zbyt wolno, co niezmiernie przedłuża każdy posiłek. Ale przeczytał w gazecie, że trzeba jeść powoli, żeby dobrze przyswajać sobie pokarm, i odtąd posiłki stawały się dla niego źródłem długo trwających radości.

Czasem odwiedzali go nowi przyjaciele. Tylko Rateau przychodził po kolacji. W dzień był zajęty, a poza tym wiedział, że malarze pracują przy świetle dziennym. Ale niemal wszyscy przyjaciele Jonasa sami byli artystami lub krytykami. Jedni malowali, inni mieli malować, jeszcze inni zajmowali się tym, co zostało lub będzie namalowane. Wszyscy mieli oczywiście bardzo wygórowane mniemanie o pracy artysty i uskarżali się na organizację świata współczesnego, która tak utrudnia ciągłość tej pracy i konieczną dla artysty kontemplację. Skarżyli się przez całe popołudnia, błagając Jonasa, żeby sobie nie przeszkadzał, nie zwracał na nich uwagi i zachowywał się tak, jakby ich nie było, nie są bowiem mieszczuchami i wiedzą, co to czas artysty. Jonas rad, że jego przyjaciele nie mają nic przeciwko temu, żeby pracował w ich obecności, wracał do swego obrazu, odpowiadał jednak na stawiane mu pytania i śmiał się z anegdot, którymi go bawiono.

Dzięki tak wielkiej naturalności obejścia, przyjaciele czuli się u Jonasa coraz lepiej. Byli naprawdę w tak dobrych humorach, że zapominali o godzinach posiłków. Ale dzieci miały lepszą pamięć. Przybiegały, wpadały między dorosłych, krzyczały, zwracały na siebie uwagę gości, skakały z kolan na kolana. Światło zniżało się wreszcie na kwadracie nieba wykreślonym przez podwórze, Jonas odkładał pędzle. Trzeba było zaprosić przyjaciół na kolację, czym chata bogata tym rada, i rozmawiać do późna w noc, o sztuce, rzecz jasna, ale przede wszystkim o nieobecnych malarzach, beztalencjach, plagiatorach albo ludziach interesownych. Jonas lubił wstawać wcześniej, żeby nie tracić pierwszych godzin światła. Wiedział, że przyjdzie mu to z trudem, że śniadanie nie będzie gotowe na czas, a on sam będzie zmęczony. Ale cieszył się, że w jeden wieczór dowiaduje się tylu rzeczy, które, choć w sposób niewidoczny, na pewno mu się przydadzą w malarstwie. „W sztuce, tak samo jak w przyrodzie, nic nie ginie. To wpływ gwiazdy”.

Do przyjaciół przyłączali się niekiedy uczniowie: Jonas miał teraz szkołę. Z początku był tym zdumiony, nie rozumiejąc, czego można się od niego nauczyć, skoro sam miał wszystko do odkrycia. Artysta siedł w nim w ciemnościach; jakże mógł wskazywać prawdziwe drogi? Ale zrozumiał dość szybko, że uczeń to nie jest koniecznie ktoś, kto pragnie się czegoś nauczyć. Na odwrót, często zostaje się uczniem dla bezinteresownej przyjemności uczenia mistrza. Odtąd mógł zgodzić się z pokorą na ten dodatkowy zaszczyt. Uczniowie Jonasa tłumaczyli mu długo, co namalował i dlaczego. W ten sposób Jonas odkrywał w swym dziele przeróżne zamysły, które go nieco zdumiewały, i mnóstwo rzeczy, których, jego zdaniem, w nim nie było. Uważał się za ubogiego; dzięki swym uczniom poczuł się nagle bogaty. Czasem w obliczu tylu bogactw, dotychczas mu nieznanym, lekka duma ogarniała Jonasa.

– To jednak prawda – powiadał sobie. – Widać tylko tę twarz na drugim planie. Nie rozumiem wprawdzie, co mają na myśli, mówiąc o pośredniej humanizacji. Ale dzięki temu pomysłowi zaszedłem dość daleko.

Rychło jednak uwalniał się od tego niewygodnego dlań mistrzostwa, przypisując je swojej gwiazdzie.

– To gwiazda idzie daleko. Ja zostaję z Louise i dziećmi.

Uczniowie mieli zresztą inną jeszcze zasługę: zmuszali Jonasa do większej surowości wobec siebie samego. Mówiąc o nim, stawiali go tak wysoko, zwłaszcza jeśli idzie o świadomość i wolę pracy, że odtąd wszelka słabość była mu wzbroniona. Tak więc pozbył się starego przyzwyczajenia i nie gryzł już kawałka cukru czy czekolady, kiedy skończył trudne miejsce i miał na nowo zabrać się do pracy. Gdyby był sam, nie walczyłby z tą słabością. Ale niemal stała obecność uczniów i przyjaciół pomogła mu poczynić postępy na drodze rozwoju moralnego; byłby nieco zażenowany, chrupiąc przy nich czekoladę, nie mógł zresztą dla tak błahej manii przerwać ciekawej rozmowy.

Ponadto uczniowie żądali, żeby pozostał wierny swej estetyce. Jonas, który trudził się długo, żeby od czasu do czasu, w przelotnym olśnieniu, ujrzeć rzeczywistość w dziewiczym świetle, miał bardzo niejasne pojęcie o własnej estetyce. Ale jego uczniowie mieli poglądy rozbudowane, sprzeczne i kategoryczne; tu nie było żartów. Jonas chętnie odwołałby się czasem do kaprysu, tego skromnego przyjaciela artysty. Ale uczniowie marszczyli brwi na widok płócien, które nie odpowiadały ich poglądom, i zmuszali go, by nieco bardziej zastanowił się nad własnym dziełem, co było dla niego tylko korzystne.

Uczniowie pomagali wreszcie Jonasowi w inny sposób jeszcze, zmuszając go do wypowiedziania się na temat ich własnej twórczości. Nie było dnia, żeby nie oglądał jakiegoś nowego, ledwie zaczętego płótna; autor umieszczał je pomiędzy Jonasem a malowanym przez niego obrazem, pragnąc, by szkic ukazał się w najlepszym świetle. Trzeba było wyrazić swój pogląd. Dotychczas Jonas wstydził się zawsze skrycie, że jest z gruntu niezdolny do oceniania dzieł sztuki. Prócz kilku obrazów, które go zachwyciły, i oczywistych kiczów, wszystko wydawało mu się równie ciekawe i obojętne. Teraz musiał mieć w pogotowiu arsenał sądów, tym bardziej różnorodnych, że jego uczniowie, jak wszyscy artyści stolicy, nie byli pozbawieni pewnego talentu, a trzeba było dość dużej skali odcieni, żeby zadowolić każdego z tych, z którymi miał do czynienia. Sytuacja była dla Jonasa o tyle szczęśliwa, że zmuszała go do stworzenia sobie słownika i poglądów na własną sztukę. Ten wysiłek zresztą nie zmącił jego naturalnej życzliwości. Zrozumiał szybko, że uczniowie nie chcą od niego krytyki, z którą nie mieliby co robić, lecz jedynie zachęty, a jeśli to możliwe, pochwał. Pochwały musiały być jednak różne. Jonas nie mógł być tylko miły jak zawsze. Był miły w sposób pomysłowy.

Tak upływało życie Jonasa, który malował pośród przyjaciół i uczniów, siedzących teraz na krzesłach ustawionych koncentrycznymi rzędami wokół jego sztalug. Często w oknach po przeciwnej stronie zjawiali się także sąsiedzi, uzupełniając jego publiczność. Jonas dyskutował, wymieniał poglądy, patrzył na płótna, które mu pokazywano, uśmiechał się do przechodzącej Louise, pocieszał dzieci i odpowiadał serdecznie na telefony, nie wypuszczając z ręki pędzli, którymi od czasu do czasu dotykał rozpoczętego obrazu. Jego życie było wypełnione, nie znał pustych godzin i dziękował losowi, który oszczędził mu nudy. Ale z drugiej strony, trzeba było wielu pociągnięć pędzlem, żeby zapełnić obraz, toteż myślał sobie czasem, że nuda ma swoje zalety, skoro można jej uniknąć, zawzięcie pracując. Im ciekawszych natomiast miał przyjaciół, tym mniej malował obrazów. Nawet w tych rzadkich chwilach, kiedy był zupełnie sam, czuł się zbyt zmęczony, żeby nadrobić stracony czas. Wtedy mógł tylko marzyć o inaczej zorganizowanym życiu, w którym rozkosze przyjaźni współżyłyby z cnotami nudy.

Zwierzył się z tego Louise, która też miała swoje kłopoty; dwoje starszych dzieci rosło, pokój był dla nich za ciasny. Zaproponowała, żeby je przenieść do wielkiego pokoju, zasłaniając ich łóżka parawanem, a najmłodsze umieścić w pokoiku, gdzie nie budziłyby go telefon. Ponieważ maleństwo nie zajmowało wiele miejsca, Jonas mógłby pracować w pokoiku. W wielkim pokoju przyjmowano by więc goście, Jonas mógłby tam wpadać, rozmawiać z przyjaciółmi albo malować u siebie, pewien, że zrozumieją jego potrzebę odosobnienia. Ponadto goście odchodziliby wcześniej, skoro starsze dzieci muszą iść do łóżka.

– Znakomicie – powiedział Jonas po chwili zastanowienia.

– A poza tym – powiedziała Louise – jeśli twoi przyjaciele odejdą wcześniej, będziemy mieli trochę czasu dla siebie.

Jonas spojrział na nią. Cień smutku przemknął po twarzy Louise. Ogarnęło go wzruszenie, wziął ją w ramiona i ucałował z największą czułością. Przywarła do niego i przez chwilę byli szczęśliwi jak w pierwszym okresie ich małżeństwa. Ale Louise otrząsnęła się: pokój jest może za mały dla Jonasa. Wzięła składany metr i obliczyli, że Jonas pracuje na powierzchni niewiele większej od pokoju, który miał być dla niego przeznaczony, pracownia była bowiem zavalona płótnami Jonasa, a zwłaszcza jego uczniów. Jonas przystąpił natychmiast do przeprowadzki.

Szczęściem, sława Jonasa rosła tym bardziej, im mniej pracował. Każda wystawa była oczekiwanym wydarzeniem, które świętowano zawczasu. Co prawda kilku krytyków, w tej liczbie dwóch jego stałych gości, okazało w swoich ocenach pewną powściągliwość. Oburzenie uczniów wynagradzało go jednak aż nadto za to niewielkie nieszczęście. Oczywiście, stwierdzali z mocą ci ostatni, nic nie da się porównać z płótnami z pierwszego okresu, ale obecne poszukiwania to początek prawdziwej rewolucji. Jonas wyrzucał sobie, że jest trochę rozdrażniony, ilekroć wychwalają jego pierwsze dzieła, i dziękował im z wylaniem. Tylko Rateau zrzędził:

– Dziwni ludzie... Chcą, żebyś był nieruchomy jak posąg. Nie wolno ci żyć!

Ale Jonas bronił swych uczniów:

– Ty tego nie rozumiesz – mówił do Rateau – lubisz wszystko, co robię.

Rateau śmiał się:

– Do licha! Bo ja lubię twoje malarstwo, nie twoje obrazy.

W każdym razie obrazy podobały się nadal i po przyjętej gorąco wystawie marszand zaproponował Jonasowi podniesienie pensji miesięcznej. Jonas zgodził się, zapewniając go o swej wdzięczności.

– Słuchając pana, można by pomyśleć, że przywiązuje pan wagę do pieniędzy – powiedział marszand.

Tak oczywista dobroduszość podbiła serce malarza. Jednakże kiedy zwrócił się do marszanda, żeby pozwolił mu dać obraz na dobroczynną wentę, marszand zapytał z niepokojem, czy ta dobroczynność „przynosi dochód”. Jonas nie wiedział. Marszand wyraził więc przekonanie, że powinni się trzymać ściśle warunków umowy zapewniającej mu wyłączne prawo sprzedaży.

– Umowa jest umową – powiedział.

Ich umowa nie przewiduje dobroczynności.

– Jak pan sobie życzy – odparł Jonas.

Zmiana pracowni miała dla Jonasa same dobre strony. Mógł być sam dość często, by odpowiedzieć na liczne listy, które otrzymywał teraz i których jako człowiek uprzejmy nie mógł pozostawić bez odpowiedzi. Jedne z nich dotyczyły malarstwa Jonasa, inne, o wiele liczniejsze, osoby korespondenta, który albo pragnął zachęty jako artysta, albo też chciał rady czy pomocy finansowej. W miarę jak nazwisko Jonasa pojawiało się w gazetach, proszono go, tak samo jak wszystkich, żeby poparł akcje, które demaskowały oburzające niesprawiedliwości. Jonas odpowiadał, pisał o sztuce, dziękował, udzielał rad, rezygnował z krawata, żeby posłać niewielką zapomogę, podpisywał wreszcie słuszne protesty, które mu przedkładano.

– Zajmujesz się teraz polityką? Zostaw to pisarzom i brzydkim kobietom – mówił Rateau.

Nie, podpisywał tylko te protesty, w których oświadczano, że nie wchodzi tu w grę jakakolwiek partyjność. Ale wszystkie powoływały się na tę piękną niezależność. Przez całe tygodnie Jonas nosił w wypchanych kieszeniach niezalutwioną i wciąż rosnącą korespondencję. Odpowiadał na najpilniejsze listy, które pochodziły na ogół od osób nieznanymi, i odkładał na sposobniejszą chwilę listy wymagające więcej czasu, to znaczy do przyjaciół. Tyle obowiązków nie pozwalało mu w każdym razie na zbijanie bąków i jakakolwiek bez troskę. Wciąż nie nadązał, wciąż czuł się winny, nawet jeśli pracował, co zdarzało mu się od czasu do czasu.

Dzieci coraz bardziej absorbowaly Louise i nie miała już siły, żeby podołać temu wszystkiemu czym w innych okolicznościach on sam mógłby się zająć. Jonasa bardzo to martwiło. Pracował dla swojej przyjemności, jej przypadła gorsza część. Zdawał sobie z tego sprawę, kiedy Louise wychodziła zalutwić sprawunki.

– Telefon! – krzyczał starszy syn i Jonas zostawiał obraz, biegł do telefonu, po czym wracał z uspokojonym sercem i jeszcze jednym zaproszeniem.

– Rachunek za gaz! – wołał w drzwiach inkasent, któremu otworzyło dziecko.

– Idę już, idę!

Kiedy Jonas odchodził od telefonu lub drzwi, jakiś przyjaciel, uczeń albo jeden i drugi szli za nim aż do drzwi pokoiku, by skończyć rozpoczętą rozmowę. Wkrótce wszyscy zadomowili się w korytarzu. Stali tam, rozmawiali ze sobą, powoływali się na Jonasa albo wpadali do pokoiku.

– Tu przynajmniej można pana zobaczyć i porozmawiać z panem swobodnie – wołali.

Jonasa ogarniało wzruszenie:

– To prawda – mówił. – Przecież nie widzimy się wcale.

Czuł również, że sprawia zawód tym, z którymi się nie spotyka, i to go smuciło. Często byli to przyjaciele, których chciałby zobaczyć. Ale brakło mu czasu, nie mógł wszystkiemu podołać. Toteż jego reputacja ucierpiała na tym.

– Przewróciło mu się w głowie, odkąd zdobył rozgłos – mówiono. – Nie widuje już nikogo.

Nie, Jonas kochał swoje malarstwo, Louise, dzieci, Rateau i jeszcze kilku przyjaciół, a miał sympatię dla wszystkich. Ale życie jest krótkie, czas wartki, a energia Jonasa miała swoje granice. Było mu trudno malować świat i ludzi i jednocześnie żyć z nimi. Z drugiej strony nie mógł się uskarżać ani wytłumaczyć, na czym polegają te trudności. Wówczas bowiem klepano go po ramieniu:

– Szczęśliwy chłopie! To okup za sławę!

Poczta więc rosła, uczniowie nie folgowali ani trochę, ponadto zaś zaczęli się zjawiać ludzie światowi, których Jonas szanował zresztą za zainteresowanie dla malarstwa, skoro mogli, jak wszyscy inni, pasjonować się angielską rodziną królewską lub oberżami, gdzie się znakomicie jada. Co prawda chodziło przede wszystkim o światowe kobiety, ale odznaczały się one wielką prostotą obejścia. Same nie kupowały obrazów, ale przyprowadzały do artysty swych przyjaciół, w nadziei, często zawiedzionej, że kupią oni obrazy zamiast nich. W zamian za to pomagały Louise, zwłaszcza w przygotowywaniu herbaty dla gości. Filiżanki, podawane z ręki do ręki, szły przez korytarz z kuchni do wielkiego pokoju, po czym lądowały w małej pracowni, gdzie Jonas wśród garstki przyjaciół i gości, których było dość, by zapełnić pokój, malował aż do chwili, kiedy musiał odłożyć pędzle i z wdzięcznością wziąć filiżankę, do której czarująca osoba naleła herbaty specjalnie dla niego.

Pił herbatę, patrzył na szkic, który uczeń umieścił właśnie na sztalugach, śmiał się z przyjaciółmi, zwracał się do jednego z nich z prośbą, by zechciał wrzucić do skrzynki paczkę listów, napisanych w nocy, podnosił z ziemi dziecko, które zaplątało mu się między nogami, ustawiał się do fotografii, po czym na wołanie: „Jonas, telefon!”, wśród przeprosin przedzierał się przez tłum zapełniający korytarz, balansując filiżanką, wracał, malował róg obrazu, przerywał, by odpowiedzieć czarującej osobie, że na pewno namaluje jej portret, i pracował znowu. – Pracował, ale:

– Jonas, podpis!

– Co to – mówił – listonosz?

– Nie, skazańcy z Kaszmiru.

– Proszę, proszę!

Biegł więc do drzwi, witał młodego przyjaciela ludzi i czytał przedłożony mu protest, pytał z niepokojem, czy tu nie chodzi o politykę, podpisywał całkowicie uspokojony i pouczony zarazem o obowiązkach, jakie nakładają nań przywileje artysty, i zjawiał się znowu, żeby poznać zwycięskiego boksera lub największego dramaturga, który przyjechał z zagranicy. Dramaturg stał naprzeciw niego przez pięć minut, wyrażając wzruszonymi spojrzeniami to, czego jego nieznamość francuskiego nie pozwalała mu powiedzieć jaśniej, Jonas zaś kiwał głową ze szczerą sympatią. Na szczęście, z tej sytuacji bez wyjścia ratowało go przybycie najmodniejszego kaznodziei o nieporównanym uroku, który pragnął poznać wielkiego malarza. Zachwycony Jonas mówił, że jest zachwycony, dotykał paczki listów w kieszeni, chwycił za pędzle i zabierał się do obrazu, ale musiał wpierw podziękować za parę seterów, które właśnie mu ofiarowano, odprowadzał je do sypialni, wracał, żeby przyjąć zaproszenie na obiad, który wydawała ofiarodawczyni, wychodził znów, słysząc krzyki Louise, stwierdzał z całą pewnością, że setery nie są przygotowane do życia w mieszkaniu, i prowadził psy do „natrysków”, gdzie wyły tak zawzięcie, że w końcu nikt już ich nie słyszał. Od czasu do czasu dostrzegał ponad głowami spojrzenie Louise i zdawało mu się, że to spojrzenie jest smutne. Nadchodził wreszcie wieczór, goście żegnali się, niektórzy zostawali jeszcze w wielkim pokoju i patrzyli z rozrzewnieniem na Louise układającą do snu dzieci, której z wdziękiem pomagała elegantka w kapeluszu, ubolewając, że za chwilę wróci do swego pałacyku, gdzie życie rozproszone na dwóch piętrach jest o tyle mniej intymne i ciepłe niż u Jonasów.

Pewnej soboty, po południu, Rateau przyniósł Louise pomysłowy wieszak do suszenia bielizny, który można było umieścić na suficie w kuchni. Mieszkanie było pełne ludzi; w pokoju Jonas otoczony znawcami malował ofiarodawczynię psów; jego samego malował jednocześnie oficjalny malarz. Jak powiedziała Louise, było to zamówienie państwowe:

– Obraz nazywa się „Artysta przy pracy”.

Rateau stanął w kącie, by spojrzeć na przyjaciela pochłoniętego pracą. Jakiś znawca, który nie spotkał tu nigdy Rateau, pochylił się ku niemu:

– Ależ świetnie wygląda! – powiedział. Rateau milczał. – Pan maluje – ciągnął tamten. – Ja także. Więc niech mi pan wierzy, on teraz gorzej maluje.

– Już? – zapytał Rateau.

– Tak, to sprawa powodzenia. Nie można oprzeć się powodzeniu. Jest skończony.

– Maluje gorzej, czy jest skończony?

– Artysta, który maluje gorzej, jest skończony. Proszę, nie ma już nic do malowania. Teraz jego namalują i powieszą na ścianie.

Późno w nocy Louise, Rateau i Jonas zeszli się w sypialni. Louise i Rateau siedzieli na skraju łóżka, Jonas stał; wszyscy milczeli. Dzieci spały, psy oddano na wieś, Louise zmyła stos naczyń, które Jonas i Rateau wytarli; byli porządnie zmęczeni.

– Weźcie służącą – powiedział Rateau na widok góry talerzy. Ale Louise odparła z melancholią:

– I gdzie ją umieścimy?

Milczeli więc.

– Czy jesteś zadowolony? – zapytał nagle Rateau.

Jonas uśmiechnął się, ale twarz miał znużoną.

– Tak, wszyscy są dla mnie mili.

– Nie – rzekł Rateau. – Miej się na bacności. Nie wszyscy są dobrzy.

– O kim mówisz?

– O twoich przyjaciółkach malarzach, na przykład.

– Wiem – powiedział Jonas. – Ale artyści bywają tacy. Nie są pewni swego istnienia, nawet najwięksi. Szukają więc dowodów, sądzą, potępiają. To ich umacnia, to początek istnienia. Są sami!

Rateau potrząsnął głową.

– Wierź mi – rzekł Jonas – ja ich znam. Trzeba ich lubić.

– A ty – powiedział Rateau – ty istniejesz? Nie mówisz nigdy źle o nikim.

Jonas zaczął się śmiać:

– Och, ale często myślę o nich źle. Tyle, że zapominam. – Spowaźniał nagle: – Nie, nie jestem pewien, że istnieję. Ale będę istniał, tego jestem pewien.

Rateau zapytał Louise, co o tym sądzi. Otrząsnęła się ze zmęczenia i powiedziała, że Jonas ma rację: opinia gości nie ma znaczenia. Tylko praca Jonasa jest ważna. I zdaje sobie sprawę, że dziecko mu przeszkadza. Rośnie zresztą, trzeba kupić kanapę, kanapa zajmie miejsce. Co robić, zanim znajdą większe mieszkanie! Jonas patrzył na sypialnię. Oczywiście, to nie jest ideał, łóżko jest bardzo szerokie. Ale w sypialni nie ma nikogo przez cały dzień. Powiedział to Louise, która zastanawiała się. Tu przynajmniej nie będą mu przeszkadzać, nikt nie będzie miał przeciwieństwa śmiałości, żeby wyciągnąć się na ich łóżku.

– Co pan o tym myśli? – spytała z kolei Rateau.

Rateau patrzył na Jonasa. Jonas patrzył na okna z przeciwka. Potem podniósł oczy ku niebu bez gwiazd i podszedł do okna, by zaciągnąć zasłony. Wrócił, uśmiechnął się do Rateau, usiadł obok niego na łóżku, nic nie mówiąc. Louise wyraźnie zmordowana powiedziała, że idzie wziąć prysznic. Kiedy przyjaciele zostali sami, Jonas poczuł, że ramię Rateau dotyka jego ramienia. Nie spojrzął na niego, ale rzekł:

– Lubię malować. Chciałbym malować przez całe życie, dzień i noc. Czy to nie szansa?

Rateau popatrzył na niego z czułością:

– Tak – powiedział – to szansa.

Dzieci rosły i Jonas cieszył się, widząc, że są wesołe i silne. Chodziły do szkoły i wracały o czwartej po południu. Jonas mógł je widywać w sobotnie popołudnia, w czwartki, a także przez całe dni podczas częstych i długich wakacji. Nie były jeszcze dość duże, żeby bawić się grzecznie, ale potrafiły za to wypełnić mieszkanie swymi kłótniami i śmiechem. Trzeba je było uspokajać, grozić im, udawać niekiedy, że się je bije. Poza tym była jeszcze bielizna, którą należało utrzymać w porządku, i guziki, które trzeba było wciąż przyszywać. Louise nie dawała już sobie rady. Ponieważ brakło miejsca dla służącej, a poza tym trudno było wprowadzić obcą osobę do domu, Jonas podsunął myśl, żeby poprosić o pomoc siostrę Louise, Rose, wdowę, która mieszkała z dorosłą córką.

– Tak – powiedziała Louise – z Rose nie będzie kłopotu. Można się będzie jej pozbyć, kiedy tylko zechcemy.

Jonas cieszył się z tego rozwiązania; Louise będzie źlej i jego własne sumienie dozna ulgi, ciężko mu było bowiem patrzeć na umęczoną żonę. Ulga była tym większa, że siostra przyprawiała często córkę do pomocy; obie miały złote serca; ich zacne charaktery odznaczały się szlachetnością i bezinteresownością. Robiły, co mogły, żeby pomóc w gospodarstwie, i nie szczędziły swego czasu. Przychodziło im to tym łatwiej, że nudziły się, żyjąc samotnie, a u Louise było im wygodnie. Rzeczywiście nie krępowały nikogo i od pierwszego dnia czuły się naprawdę jak u siebie. Dawna pracownia zmieniła się teraz we wspólny pokój, który był jednocześnie stołowym, szwalnią i ochronką. W pokoiku, gdzie spało najmłodsze, złożono teraz płótna i ustawiono łóżko polowe, na którym spała czasem Rose, jeśli nie było jej córki.

Jonas zajmował sypialnię i pracował pomiędzy łóżkiem a oknem. Musiał tylko czekać, aż sypialnia zostanie uprzątnięta, zaraz po pokoju dziecinnym. Potem miał już spokój, chyba że ktoś wchodził po bieliznę: jedyna szafa znajdowała się tutaj. Goście, teraz mniej liczni, przyzwyczaili się do tego stanu rzeczy i wbrew przypuszczeniom Louise rozkładali się na łóżku, ponieważ ułatwiało im to pogawędki z Jonasem. Wpadały też dzieci, żeby ucałować ojca.

– Pokaż obrazek.

Jonas pokazywał im obrazek i całował je tkliwie. Odprawiając je, czuł, że wypełniają mu serce po brzegi, bez reszty. Gdyby ich nie miał, pozostałaby mu tylko pustka i samotność. Kochał je tak samo jak swoje malarstwo, ponieważ tylko one na świecie były równie żywe, jak to malarstwo.

Mimo to Jonas pracował mniej, choć nie wiedział dlaczego. Wciąż pracował tak samo pilnie, ale malował z trudem, nawet w chwilach samotności. Chwile te spędzał, patrząc na niebo. Zawsze był roztargniony i czymś pochłonięty, teraz popadał w zamyślenie. Zamiast malować, myślał o malarstwie i o swoim powołaniu. „Lubię malować” – mówił sobie jeszcze, ale ręka trzymająca pędzel zwisiała wzdłuż ciała, słuchał odległego radia.

Jednocześnie przybłądła jego sława. Przynoszono mu artykuły pełne nieudomówień, artykuły złe, a niektóre tak złośliwe, że ściskało mu się serce. Ale mówił sobie, że te ataki mają swoje dobre strony, że zmuszą go, aby lepiej pracował. Ci, którzy odwiedzali go nadal, okazywali mu mniej względów i traktowali jak starego przyjaciela, z którym nie trzeba się krępować. Kiedy chciał wrócić do pracy, mówili: „Ba! masz dużo czasu!”. Jonas czuł, że klęska, jaką sami ponieśli, w ich przekonaniu dotyczy także i jego. Z drugiej strony jednak, ta nowa solidarność miała też i zalety. Rateau wzruszał ramionami:

– Jesteś głupi. Oni wcale cię nie lubią.

– Lubią mnie teraz trochę – odpowiadał Jonas. – Trochę miłości to wielka rzecz. Cóż to ma za znaczenie, jak ją się zdobywa!

Nadal więc rozmawiał, pisał listy i malował, jak mógł. Od czasu do czasu malował naprawdę, zwłaszcza w niedzielne popołudnia, kiedy dzieci wychodziły z Louise i Rose. Wieczorem cieszył się, że pchnął trochę obraz, który miał na warsztacie. W tym okresie malował nieba.

Kiedy marszand zawiadomił go, że wobec mniejszego popytu na jego obrazy musi, ku swemu żalowi, obniżyć mu pensję miesięczną, Jonas zgodził się, ale Louise okazała niepokój. Był wrzesień, trzeba było ubrać dzieci przed pójściem do szkoły. Ze zwykłą sobie energią zabrała się do szycia, ale wkrótce okazało się, że nie da sobie rady. Rose, która umiała reperować i przyszywać guziki, nie była krawcową. Ale krawcową była za to kuzynka jej męża; przysłała pomoc Louise. Od czasu do czasu siadała na krześle w kącie pokoju Jonasa; była to cicha osoba i siedziała spokojnie, tak spokojnie nawet, że Louise podsunęła Jonasowi myśl, żeby namalował *Robotnicę*.

– To dobry pomysł – powiedział Jonas.

Spróbował, zepsuł dwa płótna, po czym wrócił do rozpoczętego nieba. Nazajutrz przechadzał się długo po mieszkaniu i zastanawiał się nad miejscem do pracy. Jeden z uczniów pokazał mu z wielkim podnieceniem długi artykuł, który inaczej nie wpadłby Jonasowi w ręce, i z którego dowiedział się, że jego malarstwo jest i przecenione, i przedawnione; marszand zatelefonował, żeby raz jeszcze wyrazić swój niepokój w związku ze spadkiem sprzedaży. Jonas rozmyślał jednak i zastanawiał się nadal. Powiedział uczniowi, że w artykule jest sporo prawdy, ale że on, Jonas, może jeszcze liczyć na wiele lat pracy. Marszandowi odparł, że rozumie jego niepokój, ale go nie podziela. Ma do namalowania wielkie, naprawdę nowe dzieło; wszystko zacznie się od nowa. Mówiąc to, czuł, że mówi prawdę i że jest z nim jego gwiazda. Trzeba tylko dobrej organizacji.

W ciągu następnych dni próbował malować w korytarzu, potem przy elektrycznym świetle w „natryskach”, potem w kuchni. Ale po raz pierwszy krępowali go ludzie, których spotykał wszędzie; ci, których ledwie znał, i bliscy, których kochał. Na pewien czas przerwał pracę i zastanawiał się. Malowałby w plenerze, gdyby to była odpowiednia pora roku. Niestety, zaczynała się zima i trudno było zabrać się do pejzaży przed wiosną. Spróbował jednak, ale zrezygnował: zimno przeszywało go na wylot. Spędził wiele dni ze swymi płótnami, najczęściej siedząc przy nich lub stojąc przy oknie; nie malował już. Teraz przyzwyczał się wychodzić z rana. Obiecywał sobie, że naszkicuje jakiś fragment, drzewo, krzywo stojący dom, profil uchwycony przelotnie. Z końcem dnia nie miał nic. Natomiast najmniejsza pokusa, gazeta, spotkanie, wystawa, ciepło kawiarni przykuwały go do siebie. Co wieczór znajdował tysiące usprawiedliwień, żeby uspokoić nieczyste wciąż sumienie. Będzie malować, to pewne, będzie lepiej malować po tym okresie pustki. To tkwi w nim w środku, ot i tyle, z ciemnych mgieł gwiazda wynurzy się znów czysta i pełna blasku. Na razie nie wychodził z kawiarni. Odkrył, że alkohol podnieca go tak samo, jak wyczerpana praca w dniach, kiedy myślał o obrazie z czułością i żarem, jakie czuł jedynie dla swych dzieci. Przy drugim koniaku odnajdywał w sobie to przeszywające wzruszenie, które czyniło go zarazem panem i sługą świata. Tyle tylko, że doznawał go w próżni, z beczynnymi rękami, nie przenosząc go w dzieło. Ale to właśnie zbliżało go najbardziej do radości, dla której żył, toteż spędzał teraz długie godziny, siedząc zamyślony w zadymionych i hałaśliwych lokalach.

Unikał jednak miejsc i dzielnic uczęszczanych przez artystów. Kiedy spotkany znajomy zaczynał mu mówić o jego malarstwie, ogarniała go panika. Było widać, że chce uciec, i uciekał. Wiedział, że mówiono za jego plecami: „Uważa się za Rembrandta”, i jego niepokój rósł. W każdym razie już się nie uśmiechał i jego dawni przyjaciele wyciągali stąd wniosek szczególny, ale nieunikniony: „Jeśli się nie uśmiecha, to znaczy, że jest bardzo z siebie zadowolony”. Wiedząc o tym, coraz bardziej uciekał i coraz bardziej był płochliwy. Wystarczyło, żeby wydało mu się, gdy wchodzi do kawiarni, że ktoś z obecnych go poznaje, a wszystko w nim gasło. Przez sekundę stał w miejscu, pełen niemocy i dziwnego smutku, z zamkniętą twarzą, w której krył się niepokój, a także łaknąca i nagła potrzeba przyjaźni. Myślał o dobrym spojrzeniu Rateau i wychodził gwałtownie.

– Co za gęba! – powiedział ktoś tuż przy nim, w chwili gdy zniknął.

Bywał tylko w odległych od centrum dzielnicach, gdzie nikt go nie znał. Tu mógł mówić, uśmiechać się, znów był życzliwy, nie żądano odeń niczego. Znalazł tu kilku mało wymagających przyjaciół. Lubił zwłaszcza towarzystwo jednego z nich, który obsługiwał go przy bufecie dworca, gdzie zjawiał się często. Ten bufetowy zapytał go kiedyś, „co robi w życiu”.

– Malarz – odparł Jonas.

– Artysta malarz czy malarz pokojowy?

– Artysta.

– Hm – powiedział tamten – to trudne.

I nie wracali już więcej do tego tematu. Tak, to było trudne, ale Jonas wybrnie z tego, gdy tylko będzie wiedział, jak zorganizować sobie pracę.

Zawarł również inne znajomości, przypadkiem albo przy kieliszku; kobiety mu pomogły. Mógł do nich mówić, przed miłością albo potem, a zwłaszcza chwalić się trochę; rozumiały go, nawet jeśli nie były przekonane. Czasem wydawało mu się, że odzyskuje dawną siłę. Pewnego dnia, zachęcony przez jedną ze swych przyjaciółek, powziął decyzję. Wrócił do domu, spróbował znów pracować w sypialni; krawcowej nie było. Ale po godzinie odsunął płótno, uśmiechnął się do Louise, nie dostrzegając jej, i wyszedł. Pił przez cały dzień i spędził noc u swojej przyjaciółki, wcale jej zresztą nie pragnąc. Zmieniona twarz Louise nazajutrz była samym cierpieniem. Chciała wiedzieć, czy miał tę kobietę. Jonas powiedział, że nie, był bowiem pijany, ale że miał inne przedtem. I po raz pierwszy, z rozdartym sercem, zobaczył na twarzy Louise ów wyraz, jaki daje zaskoczenie i nadmiar bólu, zobaczył twarz topielicy. Wyznał jej wówczas, że nie myślał o niej przez cały ten czas i że się tego wstydzi. Prosił, żeby mu przebaczyła, to skończone, jutro wszystko zacznie się na nowo, jak dawniej. Louise nie mogła mówić; odwróciła się, żeby ukryć łzy.

Następnego dnia Jonas wyszedł bardzo wcześnie. Padał deszcz. Wrócił przemoczony do nitki, niosąc deski. Dwaj starzy przyjaciele, którzy przyszli dowiedzieć się, co słyhać, pili kawę w wielkim pokoju.

– Jonas zmienia manierę. Będzie malować na drewnie! – powiedzieli.

Jonas uśmiechnął się:

– Nie, to nie to. Ale zaczynam coś nowego.

Poszedł do korytarzyka prowadzącego do „natrysków”, toalety i kuchni. Stał przy styku obu korytarzy, tam gdzie tworzyły kąt prosty, i długo patrzył na wysokie ściany biegnące do ciemnego sufitu. Potrzebował drabiny, zszedł po nią do dozorczy.

Kiedy wrócił, w domu było jeszcze kilka innych osób. Żeby przedostać się na koniec korytarza, musiał walczyć z serdecznością gości, zachwyconych, że go zastali, i z pytaniami rodziny. Louise wychodziła właśnie z kuchni. Jonas postawił drabinę i przycisnął żonę mocno do siebie.

– Proszę cię – powiedziała – nie zaczynaj znowu.

– Nie, nie – odparł Jonas. – Będę malował. Muszę malować.

Ale zdawało się, że mówi do siebie, jego spojrzenie było gdzie indziej. Zabrał się do pracy. W połowie wysokości ścian zbudował podłogę z desek, tworzącą rodzaj wąskiej, ale wysokiej i głębokiej antresoli. Pod wieczór wszystko było gotowe. Jonas wszedł na drabinę, zawisł, trzymając się rękami podłogi antresoli, i chcąc wypróbować, czy jest dość mocna, pociągnął za nią kilka razy. Potem wrócił do gości, którzy cieszyli się, że jest znów tak serdeczny. Wieczorem, gdy dom trochę opustoszał, Jonas wziął lampę naftową, krzesło, taboret i ramę. Umieścił to wszystko na antresoli; trzy kobiety i dzieci patrzyły z zaciekawieniem na niego.

– Tak – powiedział, kiedy był już na górze. – Będę pracował, nie przeszkadzając nikomu.

Louise zapytała go, czy jest tego pewien.

– Ależ tak – odparł. – Nie trzeba mi dużo miejsca. Będę się czuł bardziej swobodny. Zdarzali się wielcy malarze, którzy malowali przy świecy, i...

– Czy podłoga jest mocna?

Podłoga była mocna.

– Bądź spokojna – powiedział Jonas – to doskonale wyjście.

I zszedł na dół.

Nazajutrz wdrapał się na antresolę, usiadł, postawił ramę na taborecie, tak że opierała się o ścianę, i czekał, nie zapalając lampy. Jedyne dźwięki, jakie słyszał wyraźnie, dochodziły z kuchni lub toalety. Inne hałasy wydawały się dalekie i kroki gości, dzwonki przy drzwiach i dzwonki telefonu, ruch, rozmowy docierały do niego przytłumione, jak gdyby dochodziły z ulicy lub drugiego podwórza. Całe mieszkanie wypełnione było ostrym światłem; tu mrok był kojący. Od czasu do czasu któryś z przyjaciół stawał pod antresolą.

– Co tam robisz, Jonas?

– Pracuję.

– Bez światła?

– Tak, na razie bez światła.

Nie malował, ale zastanawiał się w mroku i w tej półciszy, która w porównaniu z tym, jak żył dotychczas, zdawała mu się ciszą pustyni i grobu, słuchał swego serca. Odgłosy dochodzące do antresoli nie dotyczyły go już jak gdyby, choć zwracały się do niego. Był jak ci ludzie, co umierają we śnie w pustym domu, i gdy nadchodzi ranek, gorączkowe i natarczywe dzwonki telefonu rozbrzmiewają już nad ciałem głuchym na zawsze. Ale on żył, słuchał tej ciszy w sobie, czekał na swą gwiazdę, jeszcze ukrytą, ale która wszędzie na nowo, wynurzy się wreszcie niezmienną nad bezładem tych pustych dni. „Świeć, świeć – mówił – nie pozbawiaj mnie twego światła”. Zaświeci znowu, był tego pewien. Ale musi jeszcze pomyśleć, skoro może wreszcie być sam, nie rozstając się ze swymi bliskimi. Musi odkryć to, czego nie zrozumiał jeszcze jasno, choć wiedział o tym zawsze, i co zawsze malował, tak jak gdyby o tym wiedział. Musi wreszcie osiąść tę tajemnicę, która nie była tylko tajemnicą sztuki, zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego nie zapalał lampy.

Co dzień teraz Jonas wchodził na swoją antresolę. Goście zjawiali się rzadziej, Louise była bowiem bardzo zajęta i brała niewielki udział w rozmowach. Jonas schodził na posiłki, potem wracał na swoją grzędę. Przez cały dzień trwał bez ruchu w ciemnościach. W nocy przychodził do leżącej już w łóżku żony. Po kilku dniach poprosił Louise, żeby podała mu obiad na górę; zrobiła to z dbałością, która wzruszyła Jonasa. Żeby nie kłopotać Louise przy innych okazjach, poddał jej myśl, żeby przygotowała mu trochę zapasów, które umieścił na antresoli. Potem nie schodził już w ciągu dnia. Ale zapasy były niemal nietknięte.

Pewnego wieczoru zawołał Louise i poprosił o kilka koców:

– Zostanę tu na noc.

Louise patrzyła na niego z głową przechyloną do tyłu. Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Przyglądała się tylko Jonasowi z niespokojnym i smutnym wyrazem; zobaczył nagle, jak bardzo się postarzała i jak głębokie ślady pozostawiło i na niej zmęczenie życiem. Pomyślał wówczas, że nigdy nie pomógł jej naprawdę. Ale zanim zdołał przemówić, ona uśmiechnęła się z czułością, która ścisnęła Jonasowi serce.

– Jak chcesz, kochanie – powiedziała.

Odtąd spędzał noce na antresoli, z której niemal już nie schodził. Mieszkanie opustoszało, goście przestali przychodzić, skoro nie mogli widywać Jonasa ani za dnia, ani wieczorem. Jednym mówiono, że Jonas jest na wsi, innym, gdy kłamstwo stawało się zbyt męczące, że znalazł pracownię. Tylko Rateau przychodził wiernie. Wdrapywał się na stołek, jego pocziwa duża głowa wystawała nad podłogę antresoli:

– Jak się miewasz? – pytał.

– Znakomicie.

– Pracujesz?

– Niemal.

– Ale ty nie masz płótna!

– A jednak pracuję.

Trudno było kontynuować ten dialog pomiędzy stołkiem i antresolą. Rateau kiwał głową, schodził, pomagał Louise, reperując spalone korki albo zamek, potem, nie wchodząc już na stołek, mówił do widzenia Jonasowi, który odpowiadał w ciemności:

– Bądź zdrow, stary bracie.

Pewnego wieczora Jonas dodał jeszcze: „dziękuję”.

– Dlaczego mi dziękujesz?

– Dlatego, że mnie kochasz.

– To ci nowina! – powiedział Rateau i odszedł.

Innego wieczora Jonas zawołał Rateau. Lampa świeciła się po raz pierwszy. Jonas wychylił się z antresoli z niespokojnym wyrazem twarzy.

– Podaj mi płótno – powiedział.

– Ale co ci jest? Schudłeś, wyglądasz jak widmo.

– Niewiele jadłem przez te wszystkie dni. To nic, muszę pracować.

– Zjedz naprzód.

– Nie, nie jestem głodny.

Rateau przyniósł płótno. Potem Jonas zapytał go:

– Jak oni się mają?

– Kto?

– Louise i dzieci.

– Dobrze. Ale mieliby się lepiej, gdybyś był z nimi.

– Powiedz im przede wszystkim, że jestem z nimi.

I znikł. Rateau wyznał Louise, że jest niespokojny. Powiedziała mu, że sama martwi się od wielu dni.

– Co robić? Ach, gdybym mogła pracować zamiast niego! – Stała naprzeciw Rateau taka nieszczęśliwa. – Nie mogę żyć bez niego – powiedziała. Jej twarz, nagle odmłodzona, zdumiała Rateau. Zauważył wówczas, że się zaczerwieniła.

Lampa paliła się przez całą noc i nazajutrz rano. Gdy przychodził Rateau albo Louise, Jonas odpowiadał tylko:

– Zostaw mnie, pracuję.

W południe poprosił o naftę. Kopcąca lampa płonęła znowu żywym płomieniem aż do wieczora. Rateau został na kolacji z Louise i dziećmi. O północy pożegnał Jonasa. Czekał przez chwilę pod oświetloną wciąż antresolą, potem odszedł bez słowa. Rankiem następnego dnia, kiedy Louise wstała, lampa paliła się jeszcze.

Dzień był piękny, ale Jonas tego nie widział. Obrócił płótno do ściany. Wyczerpany czekał, siedząc z rękami złożonymi na kolanach. Mówił sobie, że nie będzie już nigdy pracował; był szczęśliwy. Słyszał głosy swych dzieci, dźwięk wody, brzęk naczyń. Louise mówiła. Wielkie szyby drżały, gdy bulwarem przejeżdżała ciężarówka. Tam był wciąż świat, młody, zachwycający. Jonas słuchał tego zgiełku, pięknego zgiełku ludzi. Z tak daleka ów zgiełk nie naruszał radosnej siły w nim, jego sztuki, nie przeszkadzał myślom, których nie mógł wypowiedzieć, umilkły bowiem na zawsze; ale one sprawiały, że był wysoko ponad wszystkim, w wolnej i żywej przestrzeni. Dzieci biegały po pokojach, dziewczynka się śmiała, Louise śmiała się także, nie słyszał jej śmiechu od dawna. Kochał ich! Jakże ich kochał! Zgasił lampę; tam, w ciemnościach, czy to nie jego gwiazda wciąż świeci? To była ona, poznawał ją z sercem pełnym wdzięczności i widział ją jeszcze, kiedy upadł bezgłośnie.

– To błahostka – oświadczył nieco później lekarz, którego wezwano. – Za dużo pracuje. Za tydzień będzie na nogach.

– Wyzdrowieje, jest pan tego pewien? – pytała Louise z nieswoją twarzą.

– Wyzdrowieje.

W drugim pokoju Rateau patrzył na płótno całkowicie białe, pośrodku którego Jonas napisał małymi literami jedno słowo; można je było odcyfrować, ale nie wiadomo, jak należało je czytać: „*solitaire*” czy „*solidaire*”.¹

¹ *Solitaire* (fr.) – samotny; *solidaire* (fr.) – solidarny.

Rosnący kamień

Samochód wziął ciężko zakręt na błotnistej teraz drodze. Reflektory wycięły nagle w ciemnościach, z jednej strony drogi, potem z drugiej, kontury dwóch drewnianych baraków pokrytych blachą. Obok drugiego z nich, na prawo, widać było w lekkiej mgle wieżę zbudowaną z grubych belek. Ze szczytu wieży biegła metalowa lina, niewidoczna w miejscu, gdzie była przyczepiona, ale połyskująca w miarę, jak wchodziła w krąg światła reflektorów, by zniknąć za skarpą, która przecinała drogę. Samochód zwolnił i zatrzymał się w odległości kilku metrów od baraków.

Mężczyzna, siedzący z prawej strony szofera, z trudem wydostał się z samochodu. Gdy znalazł się na zewnątrz, jego ogromne ciało zachwiało się nieco. Stojąc ciężko na ziemi w pasie ciemności obok samochodu, przytłoczony zmęczeniem, słuchał zwolnionego rytmu motoru. Potem ruszył w stronę skarpy i wszedł w stożek światła reflektorów. Zatrzymał się na szczycie stoku; jego olbrzymie plecy rysowały się na tle nocy. Na czarnej twarzy szofera, lśniącej nad deską rozdzielczą, widać było uśmiech. Mężczyzna dał znak, szofer wyłączył motor. Natychmiast wielka i chłodna cisza spadła na drogę i las. Słychać było teraz szum wody.

Mężczyzna patrzył z góry na rzekę, którą oznajmiała tylko wielka i ruchoma ciemność pikowana błyszczącą łuską. Noc gęściejsza i zakrzepła po drugiej stronie, daleko, to był zapewne brzeg. Patrząc jednak uważnie, można było dostrzec na tym nieruchomym brzegu żółtawy płomień, niby daleką lampę. Olbrzym odwrócił się w stronę samochodu i skinął głową. Szofer zgasił reflektory, zaświecił je, potem światła zamigotały regularnie. Na skarpie mężczyzna zjawiał się i znikał, za każdym razem większy i bardziej masywny. Nagle, na tamtym brzegu, latarnia w niewidocznej ręce kilkakrotnie wzniosła się w powietrze. Przy ostatnim sygnale szofer ostatecznie zgasił reflektory. Samochód i mężczyzna znikli w nocy. Gdy zgasły reflektory, rzeka stała się niemal widoczna, widać było przynajmniej jej płynne mięśnie połyskujące tu i ówdzie. Ciemne masy lasu rysowały się na niebie po obu stronach drogi i zdawało się, że są bardzo blisko. Lekki deszcz, który przed godziną rozmiękczył drogę, unosił się jeszcze w ciepłym powietrzu, przydając ciężaru ciszy, i wielka polana pośrodku dziewiczego lasu stawała się bardziej nieruchoma. Na czarnym niebie drżały zamglone gwiazdy.

Z drugiego brzegu dochodził jednak szcęk łańcucha i przytłumiony plusk. Lina napięła się nad barakiem, na prawo od wciąż czekającego mężczyzny. Głuchy zgrzyt szedł teraz przez nią; jednocześnie z rzeki dobiegał szeroki i lekki zarazem odgłos przecinanej wody. Zgrzyt stał się jednostajny, odgłos wody szerszy jeszcze i bardziej wyraźny, latarnia powiększyła się. Teraz widać było dokładnie żółtawy krąg światła, który ją otaczał. Krąg ten rozszerzał się z wolna i znowu się kurczył, latarnia zaś połyskiwała poprzez mgłę i oświetlała teraz rodzaj kwadratowego dachu z suchych palm, znajdującego się nad nią i wokół niej, wspartego w czterech rogach na czterech wielkich bambusach. Ten prymitywny okap, wokół którego poruszały się niewyraźne cienie, powoli posuwał się w stronę brzegu. Kiedy był mniej więcej pośrodku rzeki, można było odróżnić dokładnie trzech małych mężczyzn obrysowanych żółtym światłem, o nagich i czarnych niemal torsach, w stożkowatych kapeluszach na głowie. Stali nieruchomo na lekko rozstawionych nogach, z ciałem nieco pochylonym, żeby zrównoważyć potężny prąd rzeki; wszystka jej niewidoczna woda uderzała w bok wielkiej prymitywnej tratwy, która ostatnia wynurzyła się z nocy i wód. Gdy prom zbliżył się jeszcze bardziej, mężczyzna rozróżnił za dachem, od strony biegu rzeki, dwóch wielkich Murzynów, również w szerokich kapeluszach słomkowych i w spodniach z brunatnego płótna. Stojąc ramię przy ramieniu, ze wszystkich sił napierali na żerdzie, które zanurzały się powoli w rzece, z tyłu tratwy, zaś Murzyni tym samym zwolnionym ruchem pochylali się nad wodą, zatrzymując się dopiero na granicy równowagi. Trzej Mulaci na przodzie, nieruchomi, milczący, patrzyli na zbliżający się brzeg, nie podnosząc oczu na mężczyznę, który na nich czekał.

Prom uderzył nagle o skraj schodzącej do wody przystani, którą odsłoniła przed chwilą rozkołysana wstrząsem latarnia. Wielcy Murzyni znieruchomieli z rękami nad głową, uczeplieni końców ledwo zanurzonych żerdzi, ale ich napięte mięśnie przebiegało nieustanne drżenie, które jak gdyby szło od wody i jej ciężaru. Inni przewoźnicy zarzucili łańcuchy na słupki przystani, wskoczyli na deski i spuścili prymitywny zwodzony most, który pokrył przód tratwy na kształt równi pochyłej.

Mężczyzna wrócił i wszedł do samochodu, szofer zapuszczał motor. Samochód zbliżał się wolno ku skarpi, zadarł maskę do nieba, potem opuścił ją ku rzece i zaatakował stok. Wóz hamował, ślizgał się trochę po błocie, stawał, ruszał znowu. Wśród hałasu podskakujących desek wjechał na przystań aż do jej końca, gdzie milczący Mulaci ustawili się z obu stron, i skoczył lekko ku tratwie. Tratwa zanurzyła się w wodzie i wychyliła natychmiast, ledwo dotknęły jej przednie koła, aby przyjąć na siebie cały ciężar samochodu. Szofer podjechał na tył tratwy i stanął przed kwadratowym dachem, gdzie wisiała latarnia. W tej samej chwili Mulaci zdjęli równię pochyłą z przystani i jednym skokiem znaleźli się na promie, odczepiając go jednocześnie od błotnistej brzozy. Rzeka wygięła się pod tratwą i wyniosła ją na powierzchnię wód; tratwa powoli odbiła od brzozy, przytwierdzony do niej długi drut biegł teraz w górę, wzdłuż liny. Wielcy Murzyni, swobodni teraz, przyciągnęli do siebie żerdzie. Mężczyzna i szofer wysiedli z samochodu i stanęli na skraju tratwy. Nikt nie odezwał się podczas manewru i wszyscy byli jeszcze na swoich miejscach, nieruchomi i milczący, prócz jednego z Murzynów, który skręcał papierosa w grubym papierze.

Mężczyzna patrzył na wyłom, gdzie rzeka wynurzała się z wielkiego brazylijskiego lasu i płynęła w ich stronę. W tym miejscu miała kilkaset metrów szerokości: jej mętne i jedwabiste wody uderzały w bok promu, potem, wolne u obu krańców, wdzierały się na prom i znów układały się w jedną potężną falę, toczącą się powoli przez ciemny las ku morzu i nocy. Unosił się mdły zapach idący od wody i gąbczastego nieba. Słyszał teraz plusk ciężkich wód pod promem i, od czasu do czasu, dochodzące z obu brzegów nawoływanie ropuch albo dziwne głosy ptaków. Olbrzym podszedł do szofera. Niski i szczupły szofer stał oparty o bambus, z rękami w kieszeniach granatowego ongi kombinezonu, pokrytego teraz czerwonym pyłem, który żuli przez cały dzień. Z uśmiechem na młodej, ale już pomarszczonej twarzy patrzył, nie widząc ich, na nikle gwiazdy, które pływały jeszcze po wilgotnym niebie.

Ale głosy ptaków stały się bardziej wyraźne, przyłączyło się do nich jakieś znane skrzeczenie i niemal natychmiast lina zaczęła skrzypieć. Wielcy Murzyni zanurzyli żerdzie i ruchami ślepców szukali dna. Mężczyzna odwrócił się w stronę brzegu, który dopiero co opuścili. Teraz ten brzeg nakrywała noc i woda, był ogromny i dziki jak kontynent drzew, który ciągnął się dalej na przestrzeni tysięcy kilometrów. Zdawało się, że garść ludzi płynąca o tej porze po rzece, pomiędzy bliskim oceanem a tym roślinnym morzem, jest zgubiona. I kiedy tratwa uderzyła o drugą przystań, było to tak, jak gdyby po dniach straszego błąkania się bez żadnej już liny kotwicznej natknęli się w ciemnościach na wyspę.

Na łądzie zabrzmiały wreszcie głosy ludzi. Szofer zapłącił im; głosami dziwnie wesołymi w tej ciężkiej nocy pozdrowili po portugalsku odjeżdżający samochód.

– Powiedzieli, że do Iguape jest sześćdziesiąt kilometrów. Trzy godziny jazdy i koniec. Sokrates jest zadowolony – oświadczył szofer.

Mężczyzna roześmiał się serdecznie; ten ciężki i ciepły śmiech był do niego podobny.

– Ja także jestem zadowolony, Sokratesie. To trudna droga.

– Za ciężki jesteś, panie d'Arrast, za ciężki – szofer też śmiał się niepowstrzymanie.

Samochód nabrał teraz trochę szybkości. Jechał pomiędzy wysokimi ścianami drzew i splątanej roślinności, wśród wilgotnego i słodkiego zapachu. Świecące muchy przecinały nieustannie ciemności lasu, krzyżując się w locie; niekiedy ptaki o czerwonych oczach uderzały przez sekundę o szyby ochronne. Od czasu do czasu dziwny ryk dochodził do nich z głębi nocy i szofer patrzył na swego sąsiada, przewracając komicznie oczami.

Droga biegła zygzakami, prowadziła przez mosty z chwiejących się desek na małych rzeczkach. Po godzinie mgła zaczęła gęstnieć. Padał teraz drobny deszcz, rozpraszając światło reflektorów. D'Arrast, mimo wstrząsów, na wópół spał. Nie jechał już wilgotnym lasem, ale znów drogami Serra, na których znaleźli się rano, opuściwszy Sao Paulo. Z tych gliniastych dróg unosił się nieustannie czerwony kurz, którego smak mieli jeszcze w ustach; kurz, jak okiem sięgnąć, pokrywał skąpą roślinność stepu po obu stronach drogi. Ciężkie słońce, blade góry pełne parowów, zgłodniałe woły, których jedynym towarzyszem były lecące wynędzniałe urubu, długie, długie żeglowanie przez czerwoną pustynię... Podskoczył. Samochód stanął. Byli teraz w Japonii: domy o kruchych ozdobach z obu stron drogi, w domach migające ukradkiem kimona. Szofer rozmawiał z Japończykiem w brudnym kombinezonie i brazylijskim słomkowym kapeluszu. Potem samochód ruszył.

– Powiedział, że tylko czterdzieści kilometrów.

– Gdzie byliśmy? W Tokio?

– Nie, to Registro. U nas wszyscy Japończycy tu mieszkają.

– Dlaczego?

– Nie wiadomo. Wiesz, panie d'Arrast, oni są żółci.

Ale las przerzedził się trochę, jechać było łatwiej, choć ślisko. Samochód toczył się po piasku. Przez drzwiczki dochodził wilgotny, ciepławy i nieco cierpki powiew.

– Czujesz – powiedział szofer łakomie – to morze, dobre morze. Wkrótce Iguape.

– Jeśli wystarczy nam benzyny – odparł d'Arrast.

I zasnął spokojnie.

Rano d'Arrast, siedząc na łóżku, patrzył ze zdumieniem na salę, w której się obudził. Wysokie ściany były świeżo pomalowane do połowy brunatnym wapnem. Wyżej były niegdyś białe; teraz żółtawe plamy pokrywały je aż do sufitu. Dwa rzędy łóżek, po sześć w każdym, stały naprzeciw siebie. U końca swego rzędu d'Arrast widział tylko jedno rozesełane łóżko i to łóżko było puste. Ale usłyszał hałas z lewej strony; odwrócił się ku drzwiom, w których stał Sokrates z butelką wody mineralnej w każdej ręce.

– Radosne wspomnienie! – powiedział.

D'Arrast otrząsnął się. Tak, szpital, w którym umieścił ich wczoraj burmistrz, nazywał się „Radosne wspomnienie”.

– Wspomnienie, o tak – ciągnął Sokrates. – Powiedzieli mi, że naprzód zbudowali szpital, a potem przeprowadzą wodę. Na razie masz tu szczypiącą wodę do mycia.

Znikł, śmiejąc się i śpiewając, jakby straszliwe kichanie, które męczyło go przez całą noc i nie pozwoliło spać d'Arrastowi, nie pozostawiło na nim śladu.

Teraz d'Arrast całkiem się obudził. Poprzez okratowane okna po przeciwnej stronie widział małe podwórko z czerwonej gliny, rozmięklej od deszczu, który padał bezgłośnie na kępę wielkich aloesów. Szła przez nie kobieta, przytrzymując rękami żółtą chustkę rozpostartą nad głową. D'Arrast położył się znowu, potem wyprostował się natychmiast i wstał z łóżka, które zgięło się i jęknęło pod jego ciężarem. W tej samej chwili wszedł Sokrates:

– Do ciebie, panie d'Arrast. Burmistrz czeka przed domem. – Ale widząc minę d'Arrasta, dodał: – Nie przejmuj się, on się nigdy nie śpieszy.

Ogoliwszy się wodą mineralną, d'Arrast wyszedł przed dom. Niewielki burmistrz, który w swych okularach w złotej oprawie wyglądał jak sympatyczna łasiczka, był pogrążony w ponurej kontemplacji deszczu. Ale ledwo ujrzał d'Arrasta, zachwycony uśmiech pojawił się na jego twarzy. Wyprostował małą figurkę i rzucił się naprzód, próbując objąć rękami tors „pana inżyniera”. W tej samej chwili po drugiej stronie niskiego muru otaczającego podwórze zahamował samochód, ześliznął się po wilgotnej glinie i stanął na ukos.

– Sędzia! – powiedział burmistrz.

Sędzia, podobnie jak burmistrz, miał na sobie granatowe ubranie. Ale był znacznie młodszy, albo przynajmniej takim się zdawał dzięki elegancji postawy i świeżej twarzy pełnej młodzieńczego zdumienia. Szedł teraz przez podwórze w ich stronę, z wielką gracją omijając kałuże. W odległości kilku kroków od d'Arrasta wyciągnął do niego ręce na przywitanie. Jest dumny, że gości pana inżyniera, pan inżynier czyni zaszczyt ich biednemu miastu, cieszy się na myśl o nieocenionej usłudze, jaką pan inżynier odda Iguape, budując tę małą tamę, dzięki czemu położone nisko dzielnice unikną stałych powodzi. Rozkazywać wodom, poskramiać rzeki, ach, jakież to wspaniały zawód! Biedni ludzie z Iguape na pewno zachowają w pamięci nazwisko pana inżyniera i po wielu jeszcze latach będzie ono powracać w ich modlitwach. D'Arrast podbity tak wielkim wdziękiem i wymową, podziękował i nie odważył się nawet zapytać, co sędzia może mieć wspólnego z tamą. Zresztą, jak oświadczył burmistrz, należało udać się do klubu, gdzie miejscowi notable pragną godnie podjąć pana inżyniera, zanim zwiedzi położone w dole dzielnice. Któż są ci notable?

– Hm – powiedział burmistrz – ja sam jako burmistrz, obecny tu pan Carvalho, kapitan portu i kilku innych, mniej ważnych. Zresztą nie będzie pan musiał się nimi zajmować, nie mówią po francusku.

D'Arrast zawołał Sokratesa i powiedział mu, że spotkają się koło południa.

– Dobrze – odparł Sokrates. – Pójdę do Ogrodu pod Fontanną.

– Do Ogrodu?

– Tak, wszyscy go znają. Nic się nie bój, panie d'Arrast.

D'Arrast zauważył wychodząc, że szpital jest zbudowany na skraju lasu; ciężkie listowie zwieszało się nad dachami. Drzewa okrywała teraz zasłona drobnego deszczu, który gęsty las wchłaniał bezdźwięcznie, niby ogromna gąbka. Miasto – mniej więcej sto domów pokrytych dachówką o wyblakłych barwach – leżało między lasem a rzeką, której daleki oddech dochodził aż do szpitala. Samochód przejechał przez rozmiękkłe ulice i niemal od razu znalazł się na prostokątnym, dość dużym placu; czerwona glina, pomiędzy licznymi kałużami, zachowała ślady opon, okutych żelazem kół i kopyt końskich. Niskie domy dokoła, pokryte różnokolorowym tynkiem, zamykały plac, za którym widać było dwie okrągłe wieże białoniebieskiego kościoła w stylu kolonialnym. Nad tą nagą dekoracją unosił się idący od zatoki zapach soli. Pośrodku placu błąkało się kilka przemoczonych postaci. Pstry tłum składający się z *gauchos*, Japończyków, Indian-metysów i eleganckich obywateli miasta, których ciemne garnitury wydawały się tu egzotyczne, wolnym krokiem przechadzał się wzdłuż domów, gestykulując leniwie. Odsuwali się bez pośpiechu, żeby zrobić miejsce dla samochodu, potem stawali i patrzyli w ślad za nim. Kiedy samochód zatrzymał się przed jednym z domów na placu, przemokli *gauchos* w milczeniu otoczyli go kołem.

Na pierwszym piętrze w przypominającym mały bar klubie, którego umeblowanie składało się z bambusowego kontuaru i okrągłych blaszanych stolików, notable zebrali się licznie. Burmistrz z kieliszkiem w ręce powitał d'Arrasta, życząc mu wszelkiej pomyślności i wszyscy spełnili jego zdrowie wódką z trzciny cukrowej. Ale gdy d'Arrast pił przy oknie, podszedł do niego wielki drab w spodniach do konnej jazdy i getrach i chwając się nieco na nogach, wygłosił krótką i niezrozumiałą mowę, z której inżynier pojął tylko słowo „paszport”. Zawahał się, potem wyjął dokument, na który tamten rzucił się żarłocznie. Przejrzawszy paszport, drab nie skrywał swego niezadowolenia. Zaczął znów mówić, wywijając paszportem pod nosem inżyniera, który chłodno patrzył na te objawy wściekłości. W tej chwili sędzia zapytał z uśmiechem, o co chodzi. Pijak przyglądał się przez moment wątlej istocie, która ośmieliła się mu przerwać, potem, chwając się bardziej niebezpiecznie, potrząsnął paszportem przed oczami nowego rozmówcy. D'Arrast usiadł spokojnie przy stoliku i czekał. Dialog bardzo się ożywił i nagle sędzia zagrzmiał, dobywając z siebie głos, o który nie można go było podejrzewać. Drab cofnął się nieoczekiwanie do tyłu, z miną dziecka, które złapano na gorącym uczynku. Gdy sędzia wydał ostatnie polecenie, skierował się ku drzwiom niepewnym krokiem skarconego ucznia i znikł.

Głosem znów harmonijnym sędzia wyjaśnił d'Arrastowi, że ta ordynarna osobistość jest szefem policji; śmiało utrzymywać, że paszport nie jest w porządku, i będzie za swój wybryk ukarany. Pan Carvalho zwrócił się następnie do notablów, którzy otoczyli ich kołem, jakby zasięgał ich opinii. Po krótkiej dyskusji sędzia przeprosił uroczyście d'Arrasta, wyraził nadzieję, iż gość zechce zrozumieć, że takie zapomnienie o uczuciach szacunku i wdzięczności, jakie mu winno jest całe miasto Iguape, tłumaczy się jedynie pijaństwem i na koniec poprosił go, żeby sam wybrał karę dla tego nieszczęsnego osobnika. D'Arrast powiedział, że nie chce kary, że to incydent bez znaczenia i że śpieszy mu się przede wszystkim nad rzekę. Wówczas zabrał głos burmistrz i zapewnił z serdeczną poczciwością, że kara naprawdę jest konieczna, że winowajca zostanie w areszcie, oni zaś poczekają, aż znakomity gość zechce zadecydować o jego losie. Wszelki protest był bezsilny wobec tej uśmiechniętej surowości i d'Arrast musiał przyrzec, że pomyśli o tym. Następnie postanowiono udać się do położonych w dole dzielnic.

Rzeka rozlała już szeroko, jej żółtawe wody zagarnęły niski i śliski brzeg. Zostawili za sobą ostatnie domy Iguape i znajdowali się pomiędzy rzeką i wysokim urwistym stokiem, do którego przyczepione były murzyńskie chaty z polepy i gałęzi. Przed nimi u końca nasypu zaczynał się znowu las, od razu, jak na tamtym brzegu. Ale wyłom wód rozszerzał się nagle między drzewami aż do nieokreślonej linii, nieco bardziej szarej lub żółtej, która była morzem. D'Arrast bez słowa poszedł w stronę stoku; na jego zboczu różne poziomy wylewy pozostawiły świeże jeszcze ślady. Błotnista ścieżka prowadziła do chat. Przed chatami stali Murzyni, w milczeniu patrząc na przybyłych. Kilka par trzymało się za ręce, a na samym skraju nasypu, przed dorosłymi, stały rzędem małe Murzyniątko o wydętych brzuchach i wątlých nogach, i wytrzeszczały okrągłe oczy.

Doszedłszy do chat d'Arrast przywołał gestem komendanta portu. Był to gruby, skory do śmiechu Murzyn, ubrany w biały mundur. D'Arrast zapytał go po hiszpańsku, czy mógłby wejść do którejś z chat. Komendant był pewien, że tak, uważał nawet, że to dobry pomysł, pan inżynier zobaczy bardzo ciekawe rzeczy. Zwrócił się do czarnych i mówił do nich, długo wskazując na d'Arrasta i rzekę. Tamci słuchali bez słowa. Kiedy komendant skończył, nikt się nie ruszył. Zaczął znów mówić, tym razem z niecierpliwością w głosie. Potem zawołał jednego z mężczyzn; ten potrząsnął głową. Komendant przemówił wówczas krótko i rozkazująco. Mężczyzna odłączył się od grupy, odwrócił się twarzą do d'Arrasta i gestem wskazał mu drogę. Ale patrzył na niego nieprzyjaźnie. Był to człowiek starszy, z głową pokrytą krótką, siwiejącą wełną, o twarzy szczupłej i zniszczonej; ale ciało miał jeszcze młode, mięśnie widoczne pod płóciennymi spodniami i podartą koszulą, i twarde, suche ramiona. Ruszyli, a za nimi komendant i tłum Murzynów, i wspięli się na inny, bardziej pochyły stok, gdzie chaty z gliny, trzciny i blachy z takim trudem trzymały się ziemi, że ich podwaliny trzeba było umocnić wielkimi kamieniami. Spotkali kobietę schodzącą ścieżką; wysoko na głowie niosła blaszankę pełną wody, jej bose stopy ślizgały się czasem. Potem znaleźli się na placu zamkniętym trzema chatami. Mężczyzna skierował się do jednej z nich i pchnął bambusowe drzwi na zawiasach z lian. Odsunął się, nie mówiąc słowa i patrząc na inżyniera tym samym niewzruszonym spojrzeniem. W chacie d'Arrast zobaczył zrazu tylko dogasające ognisko, wprost na ziemi, dokładnie pośrodku izby. Potem dojrzał w kącie, w głębi, mosiężne łóżko z gołym i dziurawym materacem, w innym kącie stół zastawiony naczyniami z glinki, a pomiędzy łóżkiem i stołem rodzaj podstawki, na której królowała barwna litografia wyobrażająca św. Jerzego. Poza tym kupa łachmanów na prawo od wejścia i u sufitu kilka kolorowych przepasek schnących nad ogniem. D'Arrast stał nieruchomo i wdychał idący od ziemi zapach dymu i nędzy, który chwycił za gardło. Z tyłu komendant klasnął w ręce. Inżynier odwrócił się i w niewyraźnym świetle ujrzał na progu sylwetkę czarnej dziewczyny, która mu coś podawała: wziął kieliszek i wypił gęsty alkohol z trzciny cukrowej. Dziewczyna wyciągnęła tackę po pusty kieliszek i wyszła krokiem tak wdzięcznym i żywym, że d'Arrast zapragnął ją nagle zatrzymać. Ale gdy zaraz potem wyszedł, nie rozpoznał jej w tłumie Murzynów i notablów, którzy zgromadzili się wokół chaty. Podziękował staremu mężczyźnie, który skłonił się bez słowa. Potem odszedł. Idący za d'Arrastem komendant powrócił do zaczętej rozmowy i zapytał, kiedy Francuskie Towarzystwo z Rio będzie mogło przystąpić do prac i czy tama mogłaby być gotowa przed wielkimi deszczami. D'Arrast nie wiedział; prawdę mówiąc, nie myślał o tym. Schodził ku chłodnej rzece pod niedostrzegalnym deszczem. Wciąż słuchał wielkiego, szeroko idącego szumu, który słyszał od chwili swego przyjazdu i o którym nie potrafiłby powiedzieć, czy jest to szum wody, czy drzew. Znalazłszy się na brzegu, patrzył na daleką i niewyraźną linię morza; za nią były tysiące kilometrów samotnych wód, Afryka, a jeszcze dalej Europa, z której przyjechał.

- Komendancie – powiedział – z czego żyją ci ludzie, u których byliśmy?
- Pracują, kiedy są potrzebni – odparł komendant. – Jesteśmy biedni.
- Oni są najbiedniejsi?
- Najbiedniejsi.

Sędzia, który pojawił się w tej samej chwili, lekko ślizgając się na podszewkach eleganckich pantofli, powiedział, że oni kochają już pana inżyniera, który da im pracę.

– I wie pan – dodał – oni tańczą i śpiewają co dzień. Potem zapytał nagle d'Arrasta, czy pomyślał już o karze.

– O jakiej karze?

– Dla naszego szefa policji.

– Trzeba go wypuścić.

Sędzia powiedział, że to niemożliwe i że trzeba go ukarać. D'Arrast szedł już w stronę Iguape.

W małym Ogrodzie pod Fontanną, tajemniczym i cichym w nikłym deszczu, kiście dziwacznych kwiatów zwisały wśród lian pomiędzy drzewami bananowymi i pochutnikami. Górki wilgotnych kamieni znaczyły skrzyżowania ścieżek, którymi przechadzał się o tej godzinie pstry tłum. Metysi, Mulaci i kilku *gauchos* rozmawiali cicho albo jednako powolnym krokiem zagłębiali się w bambusowe aleje aż do miejsc, gdzie zagajniki i zarośla stawały się gęstsze i bardziej nieprzeniknione. Tu od razu zaczynał się las.

D'Arrast szukał Sokratesa wśród tłumu, gdy ten znalazł się nagle za jego plecami.

– Dziś jest święto – powiedział Sokrates ze śmiechem i oparł się na ramionach wysokiego d'Arrasta, żeby podskakiwać na miejscu.

– Jakie święto?

– Ach! – zdumiał się Sokrates, stojąc teraz twarzą do d'Arrasta. – Nie wiesz? Święto dobrego Jezusa. Co rok wszyscy przychodzą z młotkami do grotty.

Sokrates wskazał nie grotę, ale grupę ludzi czekających w kącie ogrodu.

– Słuchaj! Pewnego dnia figura dobrego Jezusa przyplłynęła z morza rzeką. Rybacy ją znaleźli. Jaka piękna! Jaka piękna! I umyli ją tu w grocie. A teraz kamień wyrósł w grocie. Co roku jest święto. Młotkiem odbijasz, odbijasz kawałki na szczęście błogosławione. I potem kamień znów rośnie i ty znów odbijasz. To cud.

Doszli do grotty; jej niskie wejście widać było ponad głowami czekających ludzi. Wewnątrz, w ciemności znaczonej drżącym płomieniem świec, jakiś schylony kształt uderzał w tej chwili młotkiem. Szczupły *gaucho* o długich wąsach podniósł się i wyszedł, trzymając w wyciągniętej do wszystkich dłoni mały kawałek wilgotnego łupka; po kilku sekundach, zanim się oddalił, ostrożnie zamknął dłoń. Wówczas inny człowiek wszedł, schylając się, do grotty.

D'Arrast odwrócił się. Pielgrzymi, nie patrząc na niego, czekali spokojnie pod wodą spadającą z drzew cienkimi pasmami. On także czekał przed tą grotą, w tej deszczowej mgłę, ale nie wiedział na co. Od miesiąca, kiedy znalazł się w tym kraju, wciąż czekał. Czekał w czerwonym upale wilgotnych dni, pod nikłymi gwiazdami nocy, choć miał swoje zadania, choć miał zbudować tamy i przełożyć drogi, jak gdyby praca, jaką tu przyjechał wykonać, była tylko pretekstem, okazją dla niespodzianki czy spotkania, którego sobie nawet nie wyobrażał, ale na które czekałby cierpliwie na końcu świata. Otrząsnął się i odszedł – nikt z małej grupy nie zwrócił na niego uwagi – i skierował się ku wyjściu. Trzeba było wrócić nad rzekę i pracować.

Ale Sokrates czekał na niego przy bramie, rozmawiając żywo z niskim, grubym i szerokim w krzyżu mężczyzną, o skórze żółtej raczej niż czarnej. Czaszkę miał całkiem ogoloną, co przydawało jeszcze szerokości pięknie sklepienemu czołu; natomiast szeroką i gładką twarz zdobiła bardzo czarna, przycięta w kwadrat broda.

– Oto zawodnik – powiedział Sokrates zamiast prezentacji. – Idzie jutro w procesji.

Mężczyzna, w marynarskim ubraniu z grubej serży, trykotowej koszulce w niebieskie i białe paski pod marynarską bluzą, przyjrzał się d'Arrastowi uważnie spokojnymi czarnymi oczami. Jednocześnie uśmiechnął się, odsłaniając bardzo białe zęby między pełnymi i błyszczącymi wargami.

– Mówi po hiszpańsku – rzekł Sokrates i zwrócił się do nieznanego: – Opowiedz panu d'Arrast. Potem tanecznym krokiem odszedł do innej grupy. Mężczyzna przestał się uśmiechać i spojrzał na d'Arrasta ze szczerą ciekawością.

– To cię interesuje, kapitanie?

– Nie jestem kapitanem – powiedział d'Arrast.

– Nic nie szkodzi. Ale jesteś wielkim panem. Sokrates mi powiedział.

– Ja, nie. Ale mój dziadek był wielkim panem. Jego ojciec także i wszyscy przed jego ojcem. Teraz nie ma już wielkich panów w naszych krajach.

– Ach – rzekł Mulat ze śmiechem – rozumiem, wszyscy są panami.

– Nie, to nie jest tak. Nie ma ani panów, ani ludu.

Tamten zastanawiał się, potem zapytał:

– Nikt nie pracuje, nikt nie cierpi?

– Miliony ludzi.

– Więc jest lud.

– Owszem, jest. Ale jego panami są policjanci i kupcy. Życzliwa twarz Mulata ścięła się. Potem mruknął:

– Proszę, kupują i sprzedają, co za świństwo! A jeśli jest policja, rozkazują łajdaki. – I zaraz wybuchnął śmiechem. – A ty, ty nie sprzedajesz?

– Niemal. Buduję mosty i drogi.

– To dobrze. Ja jestem kucharzem okrętowym. Jeśli chcesz, ugotuję ci naszą potrawę z czarnej fasoli.

– Bardzo bym chciał.

Kucharz zbliżył się do d'Arrasta i wziął go za rękę.

– Posłuchaj, podoba mi się to, co mówisz. Opowiem ci także. Może ci się spodoba.

Zaciągnął go na ławkę z wilgotnego drewna, znajdującą się obok wejścia, u stóp kępy bambusów.

– Byłem na morzu, na szerokości Iguape, na małym tankowcu żeglugi przybrzeżnej, który zaopatruje porty wybrzeża. Wybuchnął pożar. Z mojej winy, ech! znam się na swojej robocie! Nie, to nieszczęście! Udało nam się spuścić łodzie na wodę. W nocy morze się wzburzyło, zaczęło kołysać łódź, wpadłem do wody. Kiedy wypłynąłem, potrafiłem o łódź głową. Zboczyłem z drogi. Noc była czarna, woda wielka, a ja pływam źle, bałem się. Nagle ujrzałem z daleka światło, rozpoznałem kościół dobrego Jezusa w Iguape. Powiedziałem wtedy dobremu Jezusowi, że będę niósł w procesji pięćdziesięciokilowy kamień na głowie, jeśli mnie uratuje. Nie uwierzysz mi, ale morze się uspokoiło i moje serce także. Płynąłem powoli, szczęśliwy, i dobiłem do brzegu. Jutro dotrzymam obietnicy.

Spojrzał na d'Arrasta z miną nagle podejrziwą.

– Nie śmiejesz się, co?

– Nie śmieję się. Trzeba zrobić to, co się przyrzekło.

Kucharz uderzył go po ramieniu.

– Teraz chodź do mojego brata, nad rzekę. Ugotuję ci fasoli.

– Nie – odparł d'Arrast – mam robotę. Jeśli chcesz, spotkamy się wieczorem.

– Dobrze. Ale dziś w nocy ludzie tańczą i modlą się w wielkiej chacie. To święto ku czci św. Jerzego.

D'Arrast zapytał go, czy będzie także tańczył. Twarz kucharza stężała nagle; jego oczy patrzyły w bok po raz pierwszy.

– Nie, nie, nie będę tańczył. Jutro muszę nieść kamień. Kamień jest ciężki. Pójdę wieczorem, żeby uczcić świętego. Ale wyjdę wcześniej.

– To trwa długo?

– Całą noc i trochę z rana.

Spojrzał na d'Arrasta z miną jakby zawstydzoną.

– Przyjdź na tańce. I zabierz mnie potem. Inaczej zostanę, będę tańczył, nie potrafię się może powstrzymać.

– Lubisz tańczyć?

Oczy kucharza zabłysły łakomie.

– O, tak, lubię. A poza tym są cygara, święci, kobiety. Zapominasz o wszystkim, przestajesz być posłuszny.

– Są kobiety? Wszystkie kobiety z miasta?

– Z miasta nie, ale z chat.

Kucharz znów się uśmiechnął.

– Przyjdź. Kapitanowi będę posłuszny. Pomożesz mi dotrzymać obietnicy.

D'Arrast był trochę rozdrażniony. Cóż go obchodzi ta bezsensowna obietnica? Ale spojrzął na piękną, otwartą twarz o czarnej skórze lśniącej zdrowiem i życiem; ta twarz uśmiechała się do niego z zaufaniem.

– Przyjść – powiedział. – A teraz odprowadzę cię kawałek.

Nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie czarną dziewczynę i jej powitalny poczęstunek.

Opuścili ogród, przeszli przez kilka błotnistych ulic i znaleźli się na wyboistym placu, który w otoczeniu niskich domów wydawał się jeszcze większy. Po tynku ścian ściekała teraz wilgoć, choć deszcz wciąż tylko mżył. Poprzez gąbczasty przestwór nieba docierał do nich przygłuszony szum rzeki i drzew. Szli równym krokiem, d'Arrast ciężko, kucharz sprężysto. Od czasu do czasu kucharz podnosił głowę i uśmiechał się do swego towarzysza. Skierowali się w stronę kościoła, który widać było nad domami, doszli do końca placu i znaleźli się na błotnistych ulicach, gdzie unosiły się teraz ostre zapachy kuchenne. Od czasu do czasu pojawiała się w drzwiach zaciekawiona twarz kobiety trzymającej w ręce talerz czy jakieś naczynie i znikła natychmiast. Minęli kościół, zapuścili się w starą dzielnicę, wciąż idąc między niskimi domami, i nagle zza chat, które d'Arrast rozpoznał, dobiegł ich szum niewidocznej rzeki.

– Tak. Tu cię zostawię. Do wieczora – powiedział.

– Dobrze, przed kościołem.

Ale kucharz nie wypuszczał ręki d'Arrasta. Wahał się. Wreszcie rzekł:

– A czy ty nigdy nie wzywałeś, nie przyrzekałeś?

– Owszem, jeden raz.

– Podczas burzy?

– Można i tak powiedzieć.

I d'Arrast gwałtownie cofnął rękę. Ale w chwili, kiedy miał odejść, napotkał spojrzenie kucharza. Zawahał się, potem uśmiechnął.

– Powiem ci, choć to nie ma znaczenia. Ktoś miał umrzeć z mojej winy. Zdaje mi się, że wzywałem.

– Przyrzekłeś?

– Nie, chciałem przyrzec.

– Dawno to było?

– Niedługo przed przyjazdem tutaj.

Kucharz ujął brodę w obie ręce. Jego oczy błyszczały.

– Ty jesteś kapitan – powiedział. – Mój dom jest twoim domem. I pomożesz mi dotrzymać obietnicy, a to jest tak, jakbyś sam jej dotrzymał. To ci także pomoże.

D'Arrast uśmiechnął się:

– Nie sądzę.

– Jesteś dumny, kapitanie.

– Byłem dumny, teraz jestem sam. Ale powiedz mi, czy twój dobry Jezus zawsze odpowiadał, gdy wołałeś?

– Zawsze, o nie, kapitanie!

– A więc?

Kucharz wybuchnął rześkim i dziecinnym śmiechem.

– On jest chyba wolny, nic nie musi – rzekł – jak myślisz, co?

W klubie, gdzie d'Arrast jadł obiad z notablami, burmistrz powiedział mu, że powinien wpisać się do złotej księgi miasta, żeby pozostało świadectwo wielkiego wydarzenia, jakim jest jego przyjazd do Iguape. Sędzia ze swej strony znalazł kilka nowych formuł, żeby prócz cnót i talentów gościa pochwalić prostotę, z jaką reprezentuje wielki kraj, do którego ma zaszczyt należeć. D'Arrast powiedział tylko, że w istocie uważa to za zaszczyt, i to nie byle jaki, ale tak samo należy poczytać za sukces, iż Francuskie Towarzystwo może wykonać prace o takim zasięgu. Sędzia zaprotestował przeciwko tak wielkiej skromności.

– Ale – wtrącił – czy pomyślał pan, co mamy zrobić z szefem policji?

D'Arrast patrzył na niego z uśmiechem.

– Wiem.

Uważałby za szczególny przywilej i wyjątkową łaskę, gdyby w jego imieniu zechciano wybaczyć temu narwańcowi; pobyt d'Arrasta w pięknym mieście Iguape, które tak bardzo rad był poznać, podobnie jak jego wielkodusznych mieszkańców, upływałby dzięki temu od samego początku w atmosferze zgody i przyjaźni. Sędzia, słuchający uważnie i z uśmiechem, skinął głową. Przez chwilę zastanawiał się z miną znawcy nad nową formułką, po czym zwrócił się do obecnych, żeby wyrazili uznanie dla wspaniałych tradycji wielkiego narodu francuskiego, i oświadczył d'Arrastowi, że wszystko jest w porządku.

– W takim razie – zakończył – zjemy kolację z szefem policji.

Ale d'Arrast powiedział, że został zaproszony przez przyjaciół do chat na obrzęd tańców.

– Ach, tak! – rzekł sędzia. – Cieszę się, że pan tam idzie. Zobaczysz pan, nie sposób nie kochać naszego ludu.

Wieczorem d'Arrast, kucharz i jego brat siedzieli przy wygasłym ognisku pośrodku chaty, w której inżynier był już rano. Brat nie okazał zdziwienia na jego widok. Mówił z trudem po hiszpańsku i najczęściej poprzestawał na kiwnięciu głową. Natomiast kucharz zainteresował się katedrami, po czym długo rozprawiał o zupie z czarnej fasoli. Dzień się kończył i chociaż d'Arrast widział jeszcze kucharza i jego brata, to ledwie odróżniał w głębi chaty przykucnięte postacie starszej kobiety i dziewczyny, która i tym razem mu podawała. Z dołu dobiegał monotony odgłos rzeki.

Kucharz wstał i powiedział:

– Już czas.

Wstali także, ale kobiety nie ruszyły się z miejsca. Mężczyźni wyszli sami. D'Arrast zawahał się, potem się do nich przyłączył. Była już noc, deszcz ustał. Niebo o bladej czerni zdawało się wciąż płynne. W jego przezroczystej i ciemnej wodzie, nisko na horyzoncie, zaczęły się zapalać gwiazdy. Gasły niemal natychmiast i spadały jedna po drugiej do rzeki, jak gdyby niebo ociekało ostatnimi światłami. Gęste powietrze pachniało wodą i dymem. Słyszać było także bliski szum ogromnego lasu, choć las był nieruchomy. Nagle bębny i śpiewy zabrzmiały w dali, wpierw głucho, potem wyraźnie, zbliżały się coraz bardziej, wreszcie zamilkły. Po chwili zjawił się orszak czarnych dziewczyn w białych sukniach z lichego jedwabiu o nisko skrojonej talii. Za nimi szedł wysoki Murzyn w obcisłej czerwonej kurcie, na którą spadał naszyjnik z różnokolorowych zębów, z tyłu zaś bezładna grupa mężczyzn w białych piżamach i muzykanci niosący szerokie, małe bębny. Kucharz powiedział, że trzeba iść za nimi.

Chata, w której się znaleźli, idąc wzdłuż brzegu, w odległości kilkuset metrów od ostatnich chat, była wielka, pusta i dość przyzwoita, wewnątrz bowiem otynkowana. Podłoga była z ubitej ziemi, ściany nagie; dach ze słomy i trzciny podpierał w środku wysoki słup. Na małym ołtarzu w głębi, ozdobionym palmami i pełnym świec, zaledwie oświetlających połowę izby, widać było wspaniałą barwną litografię, wizerunek św. Jerzego, który z uwodzicielską miną zabijał wąsatego smoka. Pod ołtarzem, w niszy ubranej papierami wyciętymi w girlandy, pomiędzy świecą i czarką z wodą, znajdowała się gliniana, na czarno pomalowana figurka, wyobrażająca rogatego boga, który z dziką miną wywijał ogromnym nożem z posrebrzanego papieru.

Kucharz zaprowadził d'Arrasta do kąta, gdzie stanęli tuż przy ścianie, niedaleko od drzwi.

– Będziemy mogli odejść, nie przeszkadzając – szepnął kucharz.

W chacie było tłoczno; mężczyźni i kobiety stali ciasno przy sobie. Było już gorąco. Muzykanci ustawili się z obu stron małego ołtarza. Tancerze i tancerki utworzyli dwa koncentryczne koła, mężczyźni stanowili koło wewnętrzne. Pośrodku stanął czarny wodzirej w czerwonej kurtce. D'Arrast oparł się o ścianę, skrzyżowawszy ręce.

Ale wodzirej przebił się przez krąg tancerzy, podszedł do nich z poważną miną i powiedział kilka słów do kucharza.

– Opuść ręce, kapitanie – rzekł kucharz. – Ściskasz się i nie pozwalasz zejść duchowi świętego.

D'Arrast posłusznie opuścił ręce. Gdy tak stał z plecami przyklejonymi do ściany, duży i ciężki, z twarzą świecąca już od potu, wyglądał jak jakieś bóstwo, bestialskie i krzepiące zarazem. Wysoki Murzyn spojrział na niego, potem zadowolony powrócił na swoje miejsce. Natychmiast głosem brzmiącym jak fanfara zaintonował pieśń, którą przy akompaniamencie bębnow wszyscy podjęli chórem. Koła zaczęły się teraz obracać, każde w inną stronę; ciężki i wybijany taniec przypominał raczej przytupywanie, któremu towarzyszyło podwójne falowanie bioder.

Upał rósł. Mimo to przerwy zmniejszały się stopniowo, przystanki następowały rzadziej i taniec stał się szybszy. Wysoki Murzyn znowu przedostał się przez koła i zbliżył się do ołtarza, ale inni nie zwalniali tempa, a i on sam nie przestawał tańczyć. Powrócił ze szklanką wody i zapaloną świecą, którą wbił w ziemię pośrodku chaty. Rozlał wodę wokół świecy w dwóch koncentrycznych kołach, potem, znów wyprostowany, podniósł w górę oszalałe oczy. Czekał nieruchomo, z napiętym ciałem.

– Święty Jerzy nadchodzi. Patrz, patrz – szepnął kucharz, któremu oczy wychodziły na wierzch.

Kilku tancerzy wyglądało teraz rzeczywiście jak w transie, ale w transie zastygłym: ręce trzymali na biodrach, ich krok był sztywny, oczy nieruchome i martwe. Inni przyśpieszyli rytm, skręcając się konwulsyjnie i wydając nieartykułowane dźwięki. Krzyki z wolna przybierały na sile i kiedy zwały się w jedno wycie, wodzirej z oczami wciąż wzniesionymi, na ostatniej granicy oddechu, wydał długi okrzyk, w którym powracały te same, ledwo zrozumiałe słowa.

– Widzisz – szepnął kucharz – on mówi, że jest polem, na którym bóg toczy walkę.

D'Arrast, zaskoczony zmianą w głosie kucharza, spojrział na niego: pochylony do przodu, z zaciśniętymi pięściami i nieruchomym spojrzeniem, przytupywał w miejscu, w tym samym rytmie co inni. Spostrzegł wówczas, że od chwili on sam tańczy całym swoim ciężarem, choć nie ruszył się z miejsca.

Ale bębny oszalały i czerwony drągał poderwał się nagle. Z płomieniem w oku, zataczając koła rękami i nogami, utrzymywał się, zgiąwszy kolano, to na jednej, to na drugiej nodze i zdawało się, że za chwilę rozleci się w kawałki. Lecz nagle zatrzymał się w rozpędzie, żeby wśród grzmotu bębnow rzucić na obecnych dumne i straszne spojrzenie. Natychmiast z ciemnego kąta wynurzył się tancerz, klęknął i podał opętanemu krótką szablę. Wysoki Murzyn wziął szablę i nie przestając toczyć wokół oczami, zaczął nią wywijać nad głową. W tej samej chwili d'Arrast ujrzał kucharza tańczącego wśród innych. Nie zauważył, kiedy kucharz odszedł.

Duszący kurz unosił się z ziemi w czerwonym, niepewnym świetle i powietrze, klejące się do skóry, stawało się jeszcze cięższe. D'Arrast czuł, jak zmęczenie ogarnia go z wolna; oddychał z coraz większym trudem. Nie zauważył nawet, jak tancerze wzięli ogromne cygara, które palili teraz nie przestając tańczyć; ich dziwny zapach wypełniał chatę i odurzał go trochę. Zobaczył mijającego go w tańcu kucharza, który także palił cygaro:

– Nie pal – powiedział.

Kucharz coś mruknął, posuwając się wciąż w rytmie i patrząc na słup pośrodku chaty z wyrazem wypunktowanego boksera; przez jego kark przebiegał długi i ciągły dreszcz. U boku kucharza gruba Murzynka szczekała bez przerwy, poruszając z lewa na prawo głową o zwierzęcej twarzy. Najokropniejszy był jednak taniec młodych Murzynek: nie odrywały nóg od ziemi, ale od stóp do głów przebiegały je drgawki, coraz gwałtowniejsze, w miarę jak dochodziły do ramion. Wówczas ich głowy kiwały się w przód i do tyłu jak odcięte od tułowia. Jednocześnie wszyscy zaczęli wyc, długi i bezbarwny krzyk na jednym oddechu i bez modulacji nie ustawał, jak gdyby ciała złączyły się ze sobą bez reszty mięśniami i nerwami w jednym wyczerpującym wołaniu, pozwalającym wreszcie w każdym z nich dojść do głosu istocie milczącej dotychczas. Wśród nieustającego krzyku kobiety zaczęły, jedna po drugiej, padać na ziemię. Czarny wodzirej klękał i wielką, mocną ręką ścisnął każdej skronie ruchem szybkim i konwulsyjnym. Wówczas wstawały, chwiejąc się na nogach, włączały się w taniec i znów krzyczały, naprzód słabo, potem coraz głośniej i szybciej, by upaść znowu i znowu wstać, i zacząć na nowo, i tak wiele razy, aż ogólny krzyk ustał, przerodził się w jakieś ochryple szczekanie, które wstrząsało nimi jak czkawka. D'Arrast wyczerpany, spętany drugim, nieruchomym tańcem, dusząc się od własnego milczenia, poczuł, że się chwieje. W tym upale, kurzu, dymie z cygar, zapachu ludzi nie było czym oddychać. Poszukał kucharza spojrzeniem: kucharz znikł. D'Arrast osunął się na ziemię i przykucnął, powstrzymując mdłości.

Kiedy otworzył oczy, było tak samo duszno, ale hałas ustał. Tylko bębny wybijały niski i ciągły rytm, w takt którego we wszystkich kątach chaty przytupywali biało ubrani ludzie. Ale pośrodku izby, gdzie nie było już teraz szklanki i świecy, grupa czarnych dziewcząt, w stanie na w pół hipnotycznym, tańczyła wolno, nie nadążając niemal za rytmem. Z zamkniętymi oczami, ale wyprostowane, kołysały się lekko w przód i w tył, na czubkach palców, w miejscu prawie. Dwie z nich, bardzo tęgie, miały twarze okryte zasłonami z rafii. Stały po obu stronach wysokiej, szczupłej, przebranej dziewczyny, w której d'Arrast rozpoznał córkę swego gospodarza. Była w zielonej sukni i w myśliwskim kapeluszu z błękitnej gazy, podgiętym z przodu i ozdobionym piórami jak kapelusze muszkietierów; w ręce trzymała zielonożółty łuk ze strzałą, na którą był nadziany kolorowy ptaszek. Jej ładna głowa, nieco przechylona do tyłu, kołysała się wolno na wdzięcznym ciele, a uśmiechnięta twarz tchnęła spokojną i niewinną melancholią. Gdy muzyka ustawała, chwiała się sennie. Dopiero wzmocniony rytm bębnów stawał się dla niej widoczną podporą, wokół której układała miękkie arabeski aż do chwili, gdy znów urywała się muzyka; wówczas, chwiejąc się na skraju równowagi, wydawała dziwny krzyk ptaka, przenikliwy, lecz melodyjny.

D'Arrast zafascynowany tym powolnym tańcem przyglądał się czarnej Dianie, kiedy pojawił się przed nim kucharz; jego gładka twarz była teraz zmieniona do niepoznania. Dobroć znikła z oczu, w których błyszczała nieznana pożądlivość. Powiedział niechętnie, jak do obcego:

– Późno już, kapitanie. Oni będą tańczyć przez całą noc, ale nie chcą, żebyś został.

D'Arrast podniósł się z ciężką głową i ruszył za kucharzem, który szedł wzdłuż ściany ku drzwiom. Na progu kucharz się odsunął, przytrzymał bambusowe drzwi i d'Arrast wyszedł. Odwrócił się i spojrzał na kucharza, który nie ruszał się z miejsca.

– Chodź. Wkrótce trzeba będzie nieść kamień.

– Zostaję – powiedział kucharz stanowczo.

– A twoja obietnica?

Kucharz, nie odpowiadając, pchał coraz bardziej drzwi, które d'Arrast przytrzymał ręką. Stali tak przez sekundę, wreszcie d'Arrast ustąpił, wzruszając ramionami. Potem odszedł.

Noc była pełna świeżych i aromatycznych zapachów. Rzadkie gwiazdy południowego nieba, stonowane niewidoczną mgłą, połyskiwały słabo nad lasem. Wilgotne powietrze było ciężkie. Zdawało się jednak rozkosznie świeże po wyjściu z chaty. D'Arrast wspinał się po śliskim zboczu i doszedł do pierwszych chat, potykając się jak pijany na wyboistej drodze. Bliski las pomrukiwał słabo. Szum rzeki rósł; ogromny kontynent wynurzał się z nocy i obrzydzenie ogarniało d'Arrasta. Zdawało mu się, że chciałby zwymiotować ten cały kraj, smutek jego wielkich przestrzeni, zielononiebieskie światło lasów, nocny plusk wielkich, pustych rzek. Ta ziemia była zbyt wielka; mieszały się tu rasy i pory roku, czas stawał się płynny. Życie toczyło się tuż nad ziemią i żeby w nie wejść, trzeba było wyciągnąć się i spać latami na błotnistej i zeschniętej ziemi. Tam, w Europie, był wstyd i gniew. Tu wygnanie i samotność wśród omdlewających i trzęsących się w drgawkach szaleńców, którzy tańczyli, żeby umrzeć. Ale poprzez wilgotną noc dziwny krzyk zranionego ptaka, krzyk uspionej pięknej dziewczyny, doszedł do niego raz jeszcze.

Kiedy d'Arrast z głową ciężką od migreny obudził się po kiepskiej nocy, wilgotny upał wisiał już nad miastem i nieruchomym lasem. Czekał teraz w przedsionku szpitala i patrzył na zegarek, który stanął, niepewien godziny, zdumiony, że dzień jest tak jasny, a miasto ciche. Niebo, całe niemal błękitne, leżało ciężko na wyblakłych dachach. Znieruchomiałe od upału, żółtawe urubu spały na domu naprzeciw szpitala. Jeden z nich pisnął nagle, otworzył dziób i zdawało się, że zaraz odleci. Ale uderzył dwa razy zakurzonymi skrzydłami, wzniósł się kilka centymetrów nad dach i spadł, by zasnąć niemal natychmiast.

Inżynier skierował się w stronę miasta. Główny plac był pusty, podobnie jak ulice, którymi przyszedł. Daleko, po obu stronach rzeki, niska mgła unosiła się nad lasem. Upał spadał prostopadłe i d'Arrast szukał cienistego kąta, żeby się schronić. W tej samej chwili ujrzał pod daszkiem jednego z domów niskiego mężczyznę, który dawał mu znaki. Z bardziej bliska rozpoznał Sokratesa.

– I cóż, panie d'Arrast, obrzęd ci się podoba? D'Arrast powiedział, że w chacie było zbyt gorąco i że wolał niebo i noc.

– Tak – rzekł Sokrates – u was jest tylko msza. Nikt nie tańczy.

Zacierał ręce, skakał na jednej nodze, kręcił się w kółko i śmiał się do utraty tchu.

– Oni są niemożliwi, niemożliwi.

Potem spojrzął na d'Arrasta z ciekawością:

– Chodzisz na mszę?

– Nie.

– Więc gdzie chodzisz?

– Nigdzie. Nie wiem.

Sokrates roześmiał się znowu:

– Niemożliwe! Wielki pan bez kościoła, bez niczego!

D'Arrast śmiał się także:

– Widzisz, nie znalazłem swego miejsca. Więc wyjechałem.

– Zostań z nami, kocham cię, panie d'Arrast.

– Chciałbym, Sokratesie, ale nie umiem tańczyć. Ich śmiech rozbrzmiewał w ciszy pustego miasta.

– Ach, zapomniałem – rzekł Sokrates. – Burmistrz chce się z tobą widzieć. Jest na obiedzie w klubie.

I bez uprzedzenia ruszył w stronę szpitala.

– Dokąd idziesz? – zawołał d'Arrast.

Sokrates udał, że chrapie.

– Spać. Wkrótce będzie procesja.

I pobiegł, pochrapiąc.

Burmistrz chciał tylko zaproponować d'Arrastowi honorowe miejsce, z którego mógłby oglądać procesję. Wyjaśnił rzecz inżynierowi, częstując go potrawą z mięsa i ryżu, która postawiłaby na nogi paralytyka. Naprzód d'Arrast zasiadł na balkonie w domu sędziego, naprzeciw kościoła, żeby widzieć wychodzący orszak. Potem uda się do zarządu miejskiego przy wielkiej ulicy prowadzącej na plac kościelny, którą wracać będą pokutnicy. Sędzia i szef policji dotrzymają d'Arrastowi towarzystwa, ponieważ burmistrz musi wziąć udział w ceremonii. Szef policji był właśnie w klubie; wciąż kręcił się koło d'Arrasta, uśmiechał się bez wytchnienia i zasypywał go niezrozumiałymi, ale bez wątplenia serdecznymi słowami. Kiedy d'Arrast wychodził, szef policji rzucił się, aby otworzyć przed nim wszystkie drzwi.

Skierowali się ku domowi sędziego, idąc przez puste wciąż miasto oświetlone ciężkim słońcem. Tylko ich kroki dzwoniły w ciszy. Ale nagle na pobliskiej ulicy wybuchnęła petarda, wypłaszając z dachów urubu, które wzniosły się w powietrze niby ciężkie i poplątane snopy. Niemal natychmiast ze wszystkich stron rozległy się wybuchy dziesiątków petard; drzwi domów otworzyły się i ludzie zaczęli wychodzić na wąskie ulice.

Sędzia nie omieszkał oświadczyć d'Arrastowi, że jest dumny, mogąc go gościć w swym niegodnym domu, i pięknymi barokowymi schodami, pomalowanymi na niebiesko wapnem, zaprowadził go na piętro. Gdy d'Arrast przechodził przez podest, drzwi się otworzyły, ukazały się brązowe głowy dzieci i wśród stłumionych śmiechów znikły natychmiast. W reprezentacyjnym pokoju o pięknej architekturze znajdowały się tylko meble trzcinowe i wielkie klatki z ptakami, które świergotały ogłuszająco. Balkon wychodził na plac przed kościołem. Zaczął go teraz zapełniać tłum, dziwnie milczący i nieruchomy w upałe, który spadał z nieba widocznymi niemal falami. Tylko dzieci biegały po placu, zatrzymując się nagle, żeby zapalić petardy, które wybuchły jedna po drugiej. Otynkowany kościół z dziesięcioma stopniami pomalowanymi na niebiesko wapnem i dwiema niebiesko-złotymi wieżami wydawał się z balkonu mniejszy.

Nagle w kościele zagrzmiały organy. Tłum zwrócony ku kruchcie ustawił się wokół placu. Mężczyźni odsłoniли głowy, kobiety przyklekły. Odległe organy grały długo jakieś marsze. Potem dziwny odgłos dobiegł z lasu. Mały samolot o przezroczystych skrzydłach i wątłym tułowiu, niezwykle w tym świecie bez wieku, wynurzył się znad drzew, zniżył się trochę i przeleciał nad wzniesionymi w górę głowami, hałasując niby wielka grzechotka. Potem zawrócił i skierował się w stronę zatoki.

Tymczasem nieokreślony zgiełk, dochodzący z mrocznego kościoła, przyciągnął znowu uwagę. Organy zamilkły, zastąpiły je teraz niewidoczne trąby i bębny. Pokutnicy w czarnych komzach wyszli jeden za drugim z kościoła, ustawili się na dziedzińcu i zaczęli schodzić na dół po stopniach. Za nimi postępowali biali pokutnicy niosący niebiesko-czerwone chorągwie, potem grupa chłopców przebranych za anioły, „dzieci Marii” o czarnych i poważnych twarzyczkach i, wreszcie, na różnobarwnym relikwiarzu, który nieśli pocący się w swych czarnych ubraniach notable, figura dobrego Jezusa; z trzcina w ręce, z głową okrytą cierniami, krwawił i kołysał się nad tłumem zgromadzonym na schodach.

Kiedy relikwiarz znalazł się u stóp schodów, nastąpiła chwila przerwy, podczas której pokutnicy próbowali ustawić się w jakimś porządku. Wówczas d'Arrast zobaczył kucharza. Wyszedł właśnie na dziedzińiec; tors miał nagi, na głowie niósł ogromny, prostokątny blok, który od czaszki dzieliła tylko podściółka z korka. Zeszedł pewnym krokiem ze stopni, doskonale wyważony kamień spoczywał w łuku jego krótkich i muskularnych rąk. Ledwo znalazł się za relikwiarzem, gdy procesja ruszyła z miejsca. Z kruchty wyszli muzykanci ubrani w jaskrawe kurtki, dmąc z wszystkich sił w przybrane wstążkami trąby. Przy przyśpieszonym rytmie muzyki pokutnicy ruszyli szybciej i doszli do jednej z ulic wiodących na plac. Kiedy relikwiarz znikł za nimi, widać było tylko kucharza i ostatnich muzykantów. Z tyłu, wśród strzelających petard, szedł tłum; nad ostatnimi grupami krążył samolot. D'Arrast patrzył tylko na kucharza, który zniknął teraz w ulicy, i inżynierowi wydało się nagle, że ugięły mu się ramiona. Ale z tej odległości źle widział.

Sędzia, szef policji i d'Arrast ruszyli do zarządu miejskiego wzdłuż pustych ulic, pomiędzy zamkniętymi sklepami i zatrzaśniętymi bramami domów. W miarę jak oddalali się od fanfar i detonacji, cisza znów zagarnęła miasto; kilka urubu powróciło już na dachy, by zająć swoje miejsca, które, zdawało się, należały do nich zawsze. Dom zarządu miejskiego wychodził na wąską, ale długą ulicę prowadzącą z przedmieścia na plac kościelny. Teraz ulica była pusta. Z balkonu, jak okiem sięgnąć, widać było tylko wyboistą szosę, na której niedawny deszcz pozostawił kilka kałuż. Słońce zeszło już niżej, ale wciąż jeszcze drążyło ślepe fasady domów po drugiej stronie ulicy.

Czekali długo, tak długo, że d'Arrast, który nieustannie miał w oczach odbłask słońca na murze z przeciwka, poczuł znów zmęczenie i zawrót głowy. Bezludna ulica o opustoszałych domach przyciągała go i odpychała zarazem. Znów zapragnął uciec z tego kraju, myślał jednocześnie o ogromnym kamieniu i chciał, żeby próba już się skończyła. Miał już zaproponować, żeby wyszli zasięgnąć wiadomości, kiedy zaczęły bić wszystkie dzwony kościelne. W tej samej chwili u drugiego końca ulicy, z ich lewej strony, buchnął zgiełk i ukazał się kipiący tłum. Widać było z daleka, jak oblepia relikwiarz; pielgrzymi i pokutnicy, w pomieszeniu, wśród trzaskających petard i ryków radości, posuwali się wąską ulicą. W ciągu kilku sekund wypełnili ją aż po brzegi, idąc w nieopisanym nieładzie w stronę zarządu miejskiego; wiek, rasy i stroje stopione w jedną pstrą masę, nakrytą oczami i ustami pełnymi wrzasku, z której jak włócznie wystawał zastęp świec o płomieniach rozpraszających się w rozpalonym świetle dnia. Ale kiedy byli już blisko i kiedy zdawało się, że tłum pod balkonem wchodzi na ściany, tak był gęsty, d'Arrast zobaczył, że nie ma kucharza.

Bez słowa przeprosin zerwał się z miejsca, przeszedł przez pokój, zbiegł ze schodów i znalazł się na ulicy ogłuszającej dźwiękiem dzwonów i wybuchami petard. Tu musiał walczyć z radosnym tłumem, z ludźmi niosącymi świece i oburzonymi pokutnikami. Ale napierając całym swoim ciężarem na falę ludzką, otworzył sobie drogę ruchem tak gwałtownym, że zachwiał się i omal nie upadł, kiedy znalazł się już sam, poza tłumem, na końcu ulicy. Stał przy rozpalonym murze i czekał, aż oddech mu wróci. Potem ruszył dalej. W tej samej chwili na ulicy ukazała się grupa ludzi. Pierwsi z nich szli tyłem i d'Arrast zobaczył, że otaczają kucharza.

Kucharz był wyraźnie wyczerpany. Stawał, potem zgięty pod ogromnym kamieniem biegł przez chwilę pośpiesznym krokiem tragarzy i kulisów, drobnym i szybkim truchtem nędzy, uderzając całą stopą o ziemię. Otaczający go pokutnicy, w komżach brudnych od roztopionego wosku i kurzu, dodawali mu odwagi, gdy stawał. Z lewej strony szedł lub biegł w milczeniu jego brat. D'Arrastowi wydało się, że czas, którego im trzeba, aby przebyć przestrzeń dzielącą ich od niego, ciągnie się w nieskończoność. Gdy znaleźli się przy nim, kucharz zatrzymał się znowu, rzucając wokół zgaszone spojrzenia. Na widok d'Arrasta znieruchomiał zwrócony w jego stronę, choć zdawało się, że go nie poznaje. Tłusty i brudny pot okrywał jego szarą teraz twarz, w brodzie było pełno pasemek śliny, brunatna i sucha piana zaklejała mu usta. Spróbował się uśmiechnąć. Przez jego ciało, nieruchome pod ciężarem, przebiegał dreszcz, prócz ramion, których mięśnie najwidoczniej zastygły w jakimś kurczu. Brat rozpoznał d'Arrasta i powiedział tylko:

– On już upadł.

A Sokrates, który wyskoczył nie wiadomo skąd, szepnął mu do ucha:

– Za dużo tańczył przez całą noc, panie d'Arrast. Jest zmęczony.

Kucharz ruszył znowu urywanym truchtem, ale nie jak ktoś, kto chce iść naprzód, lecz jak gdyby uciekał przed gniołącym go ciężarem i spodziewał się, że ruch przyniesie mu ulgę. Nie wiadomo jak d'Arrast znalazł się z jego prawej strony. Położył na plecach kucharza rękę lekką nagle i szedł obok niego drobnym, szybkim i ciężkim krokiem. Relikwiarz znikł u drugiego końca ulicy i tłum, który zapełniał teraz plac, nie posuwał się już dalej. Przez kilka sekund kucharz szedł naprzód, mając brata i d'Arrasta u boku. Wkrótce tylko dwadzieścia metrów dzieliło go od tej grupy, która czekała na nich przed zarządkiem miejskim. Jednakże zatrzymał się znowu. Ręka d'Arrasta stała się cięższa.

– No, kucharzu, jeszcze trochę.

Tamten drżał, ślina zaczęła płynąć mu z ust, z całego jego ciała dosłownie tryskał pot. Zaczerpnął oddechu, miał to być oddech głęboki, i stanął. Ruszył znowu, postąpił trzy kroki, zachwiał się. I nagle kamień ześliznął mu się na ramię, skaleczył je, potem stoczył się na ziemię i kucharz, tracąc równowagę, upadł na bok. Ci, którzy szli przodem, dodając mu odwagi, uskoczyli z krzykiem do tyłu, jeden z nich chwycił podściółkę z korka, inni podnosili kamień, żeby położyć go znów na głowie kucharza.

D'Arrast pochylony nad nim ocierał mu ramię splamione krwią i kurzem; mały człowieczek dyszał z twarzą przyklejoną do ziemi. Nic nie słyszał, nie poruszał się wcale. D'Arrast chwycił go w pól, uniósł tak lekko, jakby to było dziecko, i trzymał przy sobie w uścisku. Schylony, mówił mu prosto w twarz, jakby chciał tchnąć w niego własną siłą. Po chwili krwawiący i brudny kucharz oderwał się od niego z dzikim wyrazem. Chwiejąc się, podszedł do kamienia, który inni unieśli nieco. Ale zatrzymał się; patrzył na kamień pustym spojrzeniem, potrząsnął głową. Potem ręce mu opadły i zwrócił się w stronę d'Arrasta. Ogromne łzy płynęły cicho po jego zniekształconej twarzy. Chciał mówić, mówił, ale usta z trudem układały sylaby.

– Przynależem – powiedział. I potem: – Ach, kapitanie! Ach! Kapitanie! – i łzy odebrały mu głos.

Brat pojawił się za jego plecami, objął go i kucharz, płacząc, przywarł do niego, pokonany, przechyliwszy głowę do tyłu.

D'Arrast patrzył na niego i nie znajdował słów. Zwrócił się ku dalekiemu tłumowi, który znów krzyczał. Nagle wydarł z czyichś rąk podściółkę korkową i zbliżył się do kamienia. Dał znak ludziom, żeby go podnieśli i niemal bez wysiłku wziął ciężar na głowę. Ugiąwszy się lekko pod ciężarem kamienia, ze wzniesionymi ramionami, nieco dysząc, patrzył na ziemię i słuchał łkań kucharza. Potem ruszył mocnym krokiem, nie słabnąc, przebiegł przestrzeń oddzielającą go od tłumu na końcu ulicy i zdecydowanie przeciął pierwsze rozstępujące się przed nim szeregi, wszedł na plac w zgiełku dzwonów i detonacji, między dwoma szpalerami widzów, którzy nagle umilkli i patrzyli na niego ze zdumieniem. Szedł naprzód tym samym porywistym krokiem; tłum otwierał się przed nim aż do kościoła. Mimo ciężaru, który zaczynał mu miażdżyć głowę i kark, widział kościół i relikwiarz czekający jakby na niego na dziedzińcu kościelnym. Szedł ku niemu i przebył już więcej jak połowę placu, gdy nie wiadomo dlaczego skręcił ostro na ukos, w lewo, odwracając się tyłem do kościoła, tak że pielgrzymi stanęli twarzą do niego. Usłyszał za sobą szybkie kroki. Przed sobą widział ze wszystkich stron otwarte usta. Nie rozumiał, co te usta krzyczały, choć zdawało mu się, że rozpoznaje portugalskie słowo, którym ciskano weń bez przerwy. Nagle Sokrates wyrósł przed nim; tocząc przerażonymi oczami, mówił coś i wskazywał drogę do kościoła.

– Do kościoła, do kościoła – krzyczał Sokrates i tłum.

D'Arrast ciągle jednak szedł naprzód. Sokrates odsunął się, komicznie wznosząc ręce ku niebu; tłum milkł z wolna. Kiedy d'Arrast znalazł się na pierwszej ulicy, którą szedł już z kucharzem – wiedział, że prowadzi do dzielnicy nadrzecznej – z placu dobiegał tylko niewyraźny zgiełk.

Kamień ugniatał mu teraz boleśnie czaszkę i musiał napiąć z całej siły mięśnie wielkich rąk, żeby zmniejszyć jego ucisk. Gdy doszedł do pierwszych uliczek na śliskim stoku, ramiona mu już drętwiały. Zatrzymał się, wyteżył słuch. Był sam. Umocnił kamień na podściółce z korka i krokiem ostrożnym, ale wciąż pewnym, szedł ku dzielnicy chat. Gdy doszedł do niej, zaczynało mu braknąć oddechu, ręce obejmujące kamień drżały. Przyśpieszył kroku, znalazł się wreszcie na placu, gdzie stała chata kucharza, podbiegł do niej, kopnięciem otworzył drzwi, i jednym ruchem rzucił kamień na środek izby, na ognisko żarzące się jeszcze. I tu, wyprostowany, ogromny nagle, wdychając z rozpaczliwym wysiłkiem znajomy zapach nędzy i popiołu, słuchał, jak wznosi się w nim fala niejasnej i pulsującej radości, której nie potrafił nazwać.

Gdy mieszkańcy chaty wrócili, d'Arrast stał oparty o ścianę w głębi, z zamkniętymi oczami. Pośrodku izby, tam gdzie znajdowało się ognisko, leżał na wpół zagrzebany kamień pokryty popiołem i ziemią. Zatrzymali się na progu i patrzyli na d'Arrasta w milczeniu, jakby go pytali. Ale on milczał. Wówczas brat zaprowadził do kamienia kucharza i kucharz osunął się na ziemię. Sam usiadł, dając znak innym. Przyszła stara kobieta, potem młoda dziewczyna z nocy, ale nikt nie patrzył na d'Arrasta. Przykucnęli, milcząc, wokół kamienia. Tylko szum rzeki dochodził do nich poprzez ciężkie powietrze. D' Arrast stał w cieniu i słuchał, nic nie widząc, szum wód napełniał go niespokojnym szczęściem. Z zamkniętymi oczami pozdrawiał radośnie własną siłę, pozdrawiał raz jeszcze życie, które się zaczynało. W tej chwili z bardzo bliska rozległ się wybuch. Brat odsunął się nieco od kucharza i, na wpół zwrócony w stronę d'Arrasta, na którego nie patrzył, wskazał mu puste miejsce:

– Siadaj z nami.

Posłowie

Albert Camus w *Wygnaniu i królestwie* (*L'Exile et le Royaume*) – zbiorze opowiadań powstałych w 1957 roku, współczesnych ostatniej opublikowanej za życia pisarza powieści *Upadek* (*La Chute*), która pierwotnie stanowiła część cyklu prozatorskiego – podjął temat wygnania rozumianego jako wykorzenienie, samotność, wyobcowanie. Sześć opowiadań, wykorzystujących różne sposoby narracji od monologu wewnętrznego począwszy aż po realistyczny opis, dotyka problemu kondycji ludzkiej widzianej z perspektywy samotności psychicznej, społecznej i egzystencjalnej. W kilku spośród nich autor wyrusza w podróż wiążącą się z odkrywaniem egzotyki miejsc, jak i niezwykłych krain ludzkich myśli i wierzeń. Narrator – odbywający te wyprawy wraz ze swymi bohaterami – jest bystrym obserwatorem pejzaży wewnętrznych, które w przedziwny sposób korespondują z nastrojowością przemierzanych przestrzeni. Bohaterowie opowiadań – zawsze widziani przez autora indywidualnie, wyabstrahowani z rodzimych społeczności – obdarzeni są szczególnym darem budzenia się i klarowania samoświadomości. Poszczególne doświadczenia skłaniają ich do medytacji i jednocześnie prowokują do wychodzenia w kierunku dialogu. Większość spośród wątków opowiadań m.in. szczególne odczuwanie relacji społeczności śródziemnomorskich, wyczulenie na sytuację w Algierii oraz problem alienacji – obecnych jest również w pozostawionej przez pisarza w rękopisie powieści *Pierwszy człowiek*, noszącej szczególne piętno autobiografizmu.

Tematem opowiadania *Wiarołomna żona* (*La Femme adultère*) jest wyprawa dwojga małżonków w głąb Algieru do położonych na Południu kraju oaz. Egzotyka interioru – klimat nie pozostawiający złudzeń na przetrwanie, społeczność arabska o całkowicie odmiennej od europejskiej mentalności – jest tłem osobistej wyprawy, którą odbywa Janine podróżująca u boku swego męża Marcela. Statyczność krajobrazu, ożywiana ruchem niepokojącego, męczącego wiatru potęguje uczucie znużenia. Kobieta prowadzi banalne, pozbawione kolorów życie, towarzysząc w podróżach handlowych mężczyźnie, którego już nie potrafi kochać. Ich ponad dwudziestoletnie bycie razem, oparte na silnej wierze mężczyzny w moc pieniądza, na swój sposób jest rutynowe, dawno już wyzwolone z namiętności uczuć i ekstazy ciała. Wrażenie izolacji kobiety i jej męża potęguje pustynny żar, który *zabijał wszystko, nawet łagodne uczucie nudy*. Standardowa wizyta Marcela jako kupca wśród Arabów biegnie utartymi ścieżkami – hotel, kawiarnia, spotkanie z kontrahentami, powrót do hotelu. Widok horyzontu, obserwowany ze zwiedzanego w przerwie między transakcjami fortu, odkrywa przed Janine doskonałą i zarazem pociągającą pustkę. Nieogarniona przestrzeń budzi ją z wieloletniego odrętwienia. Moc krajobrazu jest na tyle pociągająca, iż Janine wyrusza nocą do fortu, aby doznać ekstazy – obudzić w sobie namiętności, wyzbyć się pętającego ją lęku i stanąć twarzą w twarz z własną samotnością. Odbyta wyprawa staje się podróżą o wymiarze epifanicznym, bohaterka odnajduje swą utraconą tożsamość, doświadcza swej egzystencji. Janine staje wobec przerażającego faktu istnienia – swojego oraz niepojętej natury obecnej w niezliczonych gronach gwiazd widocznych na południowym niebie. Przerażenie jest uczuciem egzystencjalnym – dojmującym oraz życiodajnym jednocześnie, na co wskazywałyby symboliczne *wody nocy*, które napełniły ciało bohaterki. Samotność u boku śpiącego męża sprawia, że kobieta *zasypia każdego wieczoru w tym samym łóżu, co śmierć*.

Wyprawa niemego misjonarza – bohatera opowiadania *Renegat albo umysł zmącony (Le Renegat)* – z rodzinnego Masywu Centralnego na Południe również ma egzotyczny *entourage*. Jego monolog, z przyczyn obiektywnych pozostający chropawym monologiem wewnętrznym, pokazuje, jak narastająca pod wpływem krzywdy nienawiść prowadzi do odrzucenia wyznawanych ideałów. Misjonarz jest duchowym bankrutem – oszukany przez swych seminaryjnych mistrzów, ukarany przez mających się nawrócić wiernych. Z łatwością odchodzi od ewangelicznych ideałów wpojonych mu w seminarium, by poddać się fascynacji pogańskim bożkiem, będącym wcieleniem mocy. Jego opowieść ma cechy wypowiedzi szaleńca. O ile krajobraz obiektywnie narzuca swe ponadludzkie warunki – wykańczający, nie dający wytchnienia upał i pełne soli powietrze – o tyle dobrowolnie głoszona przez apostoła europejskość w sposobach myślenia zostaje boleśnie skonfrontowana z magią i szamanizmem lokalnej afrykańskiej społeczności.

Camus poddaje krytyce postawę imperializmu duchowego, opartego na podboju niewierzących narzędziami wypracowanymi przez umysłowość kontynentalną. Myślenie kategoriami wyższości kulturowej sprawia, że do głosu dochodzi element siły. Postaci niemego księdza towarzyszy pytanie o władzę duchową – czy władcą jest autorytet zajmujący pozycję siły, czy autorytet dobroci i miłosierdzia. On wybrał argument siły.

Dialektyka dobra i zła, cierpienie absolutu z powodu, że zło może mieć również formy absolutne sprawiają, że opowiadanie nawiązuje do wielkich dylematów rozważanych przez F. Dostojewskiego.

Niemi (Les Muets) – opowiadanie o charakterze realistycznym, w którym na pozór nie zdarza się nic nadzwyczajnego – nawiązuje do wspomnień Alberta Camus z dzieciństwa, gdy jako chłopiec odwiedzał wuja Sintesa w Belcourt w zakładzie bednarskim. Postać wuja często pojawiała się we wczesnych utworach pisarza.

Historia dotycząca problemu stosunku pracy i zmagania się doświadczonego bednarza Yvarsa z codziennością ma charakter publicystycznego, miejscami nawet populistycznego reportażu o pracy bednarzy. Wzrusza natomiast prostota i wrażliwość głównego bohatera, który wyraża ludzkie pragnienia bezpieczeństwa i szczęścia pod spokojnym niebem.

Akcja *Gościa (L'hôte)* rozgrywająca się w Algierii konfrontuje postać nauczyciela Daru z lokalną społecznością arabską pragnącą ukarać jednego ze swych członków. Arab jest winny zbrodni zabójstwa, za co społeczność wioski El Aneur skazuje go na wygnanie oraz wysyła wraz z eskortującym go żandarmem do miasteczka. W drodze do więzienia w Tinguit żandarm Balducci i skazany zatrzymują się w mieszkaniu Daru. Nauczyciel zaprasza na noc niespodziewanych gości; gdy żandarm odchodzi, nauczyciel zostaje sam na sam ze złoczyńcą. Poprzez proste czynności i gesty Daru okazuje mu swój ludzki szacunek – dzieli się z nim wieczorną strawą, oddaje mu swoje łóżko, rano odprowadza go w stronę więzienia. Po odejściu Araba znajduje na szkolnej tablicy napis o zemście za wydanie współbrata.

Gość jest historią człowieka samotnego w tłumie, samotnego, bowiem nie działającego na fali zbiorowych uczuć zemsty lub lęku, nie kierującego się własną korzyścią, nie spełniającego oczekiwań społeczności. Bezinteresowność, humanizm i solidarność niewątpliwie są przesłaniem owego krótkiego opowiadania. Autor dotyka również problemu winy – Arab jest zabójcą zarówno w mniemaniu swych ziomeków, jak i zgodnie z kodeksem uznawanym przez Daru. Zdawać by się mogło, że tego typu postępek wymaga sprawiedliwej, wymierzonej obiektywnie, kary. Jednak dla Arabów Daru jest zdrajcą, bowiem to on jako ostatni wydaje ich współplemieńca. Staje się przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości, w pojęciu Arabów powiązany ze zniewalającym ich reżimem.

Bezpośrednim nawiązaniem do wątków autobiograficznych jest opowiadanie *Jonas albo artysta przy pracy (Jonas)*, będące zapisem doświadczeń Alberta Camusa z lat pięćdziesiątych, gdy pracował jako redaktor dla wydawnictwa Gallimard. Opowiadanie to ma charakter autotematyczny – jest nieco karykaturalnym studium na temat procesu tworzenia. Malarz – Gilbert Jonas, pozostający pod stałą opieką marszanda Rateau, gotowego wykupić każdy jego obraz, otoczony gronem wiernych odbiorców jego sztuki, wreszcie wspierany przez swą nadopiekuńczą żonę Louise, pracuje nad wizją własnej twórczości. Wszyscy gremialnie obserwują i komentują zmagania Jonasa z materią artystyczną. Jonas – w obecności wielbicieli i uczniów przeżywa swoistą zapaść artystyczną – nie jest w stanie pracować w idealnych, wydawałoby się, warunkach. Camus mistrzowsko wydobywa moment, gdy artysta zaczyna przeżywać kryzys twórczy. Okazuje się, że dla powstania dzieła zarówno potrzebna jest wspólnota jak i samotność. Ta druga powoduje, że Jonas odnajduje wreszcie swoją własną dykcję. Pomiędzy ascezą i odosobnieniem a obecnością i wsparciem odbywa się proces twórczy, którego przebieg stara się odtworzyć z autopsji A. Camus. Na płótnie Gilberta Jonasa pojawia się napis „samotny” lub „solidarny”. Na przestrzeni tych znaczeń rozciąga się według A. Camusa doświadczenie twórczości.

Rosnący kamień (La Pierre qui pousse) należy do najbardziej odrealnionych tekstów zamieszczonych w zbiorze, jest to raczej opowiadanie-mit. Wyrasta z fascynacji autora pierwotnymi kulturami, dzikimi tańcami oraz nieujarzmioną naturą. Bohater D'Arrast, francuski inżynier budowniczy mostów i dróg – przybywa do Brazylii w trudno dostępne tereny. Albert Camus podróżował do Brazylii w 1949 r. i nawet uczestniczył w obrzędzie zwanym makumba opisanym w opowiadaniu². Z perspektywy przybysza z Europy brazylijski styl życia jest kontynuacją pierwotnej wspólnoty ludzkiej, wiernej swym bogom i obrzędom.

D'Arrast – „biały” pośród grupy Murzynów – początkowo przygląda się niezrozumiałemu rytuałowi niesienia kamienia, natomiast po zasłabnięciu niosącego go kucharza aktywnie włącza się w uroczystość i kontynuuje jego posłannictwo oraz obietnicę. Opowieść o solidarności i dialogu odległych kultur ma swój osobisty wymiar w spotkaniu wykształconego Europejczyka z prostymi wierzącymi z Ameryki Południowej podczas niezwykłego święta Dobrego Jezusa. D'Arrast nazywany początkowo przez narratorkę mężczyzną jest na swój sposób wyalienowanym, nowoczesnym człowiekiem bez przywiązania do obrzędów i bez wyznawanej wiary, nie odczuwającym więzi z pierwotnymi kulturami. Jego powrót do ludzkiej rodziny następuje w momencie podjęcia zobowiązania kucharza, gdy jako jedyny z tłumu podejmuje się niesienia ciężaru.

Opowiadanie – w dużej części odrealnione na skutek magicznej atmosfery święta – rozpięte jest pomiędzy całkowitą samotnością i obojętnością ateisty a ludzką solidarnością i heroicznym zaangażowaniem w sprawy innych. Jak pisze w swoich esejach Thomas Merton, żarliwy interpretator i admirator twórczości Camusa – *Człowiek sam, jak Syzyf, musi podjąć swoje absurdalne zadanie – swój głaz, lub jeśli ktoś woli, swój Krzyż. W kontekście współczesności, biały Europejczyk, Mulat z Południowej Afryki i czarny Afrykanin muszą razem toczyć kamień Syzyfa, mimo iż ich trud wydaje się daremny.*

Urszula Klatka

² A. Camus, *Dzienniki z podróży*, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2004.